

BLUSZCZ

*spoleczno-literacki iilustrowany
tygodnik kobiecyp*



W a r s z a w a,

S o l e c 87.

telefon 2-44-18.

„BLUSZCZ”

spoleczno-literacki
ilustrowany tygodnik kobiecy

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

W a r s z a w a,

Ś-to Krzyska 17 m. 3.

telefon 6-76-72.

Redaktorki: *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW* (naczelnia) i *MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW*
Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*
Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*
Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03.

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.

Treść numeru:

Bolączki inteligencji — *N. J. Poezje: Makaron — Stanisława Sznaper; Na wózku — S. Borowska; Jedna z ostatnich entuzjastek — Maila Talvio — Wł. Burkath; To, co najważniejsze — Hanna Skarbek Peretjatkowicz; „Wirówka” na Sokółskim — St. Szurlejówna; Zamknięte koło — Zofja Kunicka; Wychowanie i szkoła; Wychowanie młodzieży na tle przeobrażeń społecznych — Zofja Dzieciłowska-Brykalska; Wrażenia z Kongresu Wychowania Moralnego w Krakowie — Stanisława Kuszełowska-Rayska; Nauczycielka szkoły ludowej — St. Osinśka; Z książek — S. P. O.; Z ubiegłego tygodnia — H. N.; Nasza mównica; Przegląd prasy: Nie oplaca się... Kobieta w świecie i w domu; Ogrodnictwo i hodowla; Technika sadzenia drzew owocowych — Marja Dąbrowa; Tuczenie gęsi — Marja Dąbrowa; Zbiór gruszek — Marja Dąbrowa; Dom i gospodarstwo: Małe i wielkie sprzątanie — Wanda Dobrzańska; Przepisy gospodarskie*

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—4.50 zł. kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 5.20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. WARSZAWA Nr. 3700.

W y d a w c a : Tow. Wydawnicze „Bluszcz”, Sp. z ogr. odp

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

$\frac{1}{1}$ str. tekstu	—	zł. 700.—	Oktadka III-cia	$\left\{ \begin{array}{l} \frac{1}{1} \text{ str. okł.} \\ \frac{1}{2} \text{ „ „} \\ \frac{1}{4} \text{ „ „} \\ \frac{1}{8} \text{ „ „} \\ \frac{1}{16} \text{ „ „} \\ \frac{1}{32} \text{ „ „} \end{array} \right.$	zł. 500.—	Oktadka IV-ta	$\left. \begin{array}{l} \text{zł.} \\ \frac{1}{1} \text{ str. okł.} \end{array} \right\} \text{—600.—}$
$\frac{1}{2}$ „ „	—	400.—			250.—		
$\frac{1}{4}$ „ „	—	200.—			150.—		
$\frac{1}{8}$ „ „	—	100.—			80.—		
$\frac{1}{16}$ „ „	—	50.—			50.—		
$\frac{1}{32}$ „ „	—	30.—			30.—		

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcz” — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-03. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU” powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

Bliscy

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

Bolączki inteligencji

(*My arystokraci*).

Stara wada. Jak wszystko stare, miała kiedyś swoją rację bytu i jak wszystko stare, oddawna ją straciła.

Brat szlachcic z przed dwóch, czterech, sześciu wieków wywodził z dumą swój ród od rzymian. Wcale nieźle, przy tej okazji uczył się trochę historii, zarówno syn, jak i papa. Potem, szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, forma przedkilkusetletniej demokracji. Też wcale niema, póki była wypełniona treścią.

Na dworze „brata” wojewody uczył się taki szlachecki „sztrabancel” dobrych obyczajów, zaprawiał do publicznej służby i do pojęcia, że arystokracja, to noblesse oblige w stosunku do Ojczyzny i całej społeczności.

Potem, zczasem, zaczęło być gorzej, od chwili gdy powstał obyczaj, (jeszcze za Jagiellonów go nie było) nie żenienia się, broń Boże, z mieszczkami i nie „parania się” łokciem i miarką.

Stara forma wietrzała powoli z treści, aż wietrzała zupełnie, ale pusta skorupa sterczy do dziś dnia i przeszkadza.

Co znowu! zawołacie z oburzeniem, gdzież dziś ta arystokracja, czy arystokratyczność? Hrabiowie i księżęta siedzą na skromnych posadkach, członkinie starych, najstarszych rodów zakładają hotele, pensjonaty, sklepy, pracownie!

Bo mus to wielki pan, wiadomo. Zresztą chodzi tu mniej o istotną, rodową arystokrację. Mówimy o inteligencji pracującej, o klasie, która pochodzi prawie bez wyjątków od „braci” wojewody. Od braci mniej lub więcej zamożnej, niekoniecznie zawsze na zagrodzie, przeciwnie często nawet na drążkowym krześle, bądź co bądź jednak nie z najwyższej arystokracji.

Ta właśnie klasa jest najwięcej dziś arystokratyczna.

Rzeczpospolita zniosła przecież oficjalnie tytuły. To też to, oficjalnie. Prywatnie liczymy się z nimi, nietyle z grzeczności towarzyskiej, ile z dumy: mój przyjaciel hrabia X, jesteśmy spokrewnieni z... następuje długa genealogja pięknych nazwisk i tytułów.

I dziwna rzecz, jak odwrotnie przetworzyła się dawna zasada. Szlachcic na zagrodzie czuł, że on jest równy. Jakkolwiek praktycznie to tam różnie bywało, ale zasada była taka, my dziś zato, uważamy te „koneksje” za rodzaj zaszczytu dla nas.

Czy istotnie w pochodzeniu od starych, zasłużonych rodów, w związkach z nimi, nie można odnaleźć powodu do dumy?

Jest to zasada, nad którą warto pomyśleć, bo a nuż? Może przecież jest w tem jakaś racja? Mieli, lub mają jeszcze krewni, czy dawni przyjaciele rodziców lub dziadów, wielkie majątki. Jaki tytuł do chlubienia się związkiem z nimi? Chyba żaden. A jednak ileż razy słyszy się wypowiedziane z dumą: to ludzie niezmiernie bogaci, lub: w majątku moich przyjaciół, krewnych etc., etc. Bóg z nimi, niech sobie mają a używają najlepiej i najprzyjemniej, więcej, o ile łączą mnie z nimi naprawdę bliskie i serdeczne stosunki, wykorzystam je z prawdziwą przyjemnością, ale z czego mam być dumny, u licha?

Że wysoka kultura i szerokie możliwości?

Kiedy to nie to, kultura jest często i bez majątku i tytułu, a możliwości? To byłby raczej powód do uznania tych ludzi za bardzo szczęśliwych i nie więcej.

A zasługa? Pochodzenie, związek z zasłużonym rodem, czy człowiekiem?

Tu jest pewna racja, ale inna. Nie duma. Nazwę jej podsunął mi kiedyś młody chłopaczek, uczeń siódmej klasy.

Był potomkiem w prostej linii jednego z ludzi sławnych w naszej historii 19 wieku, mówiliśmy o tym jego dziadku przez całą lekcję, chłopiec nie odezwał się ani jednym słowem, miał tylko błyszczące oczy, wydawał się wniebowzięty.

Pokrewieństwo było mi doskonale wiadome, z innego źródła. Po lekcji zapytuje: no cóż, dumny jesteś?

— Nie, cóż ja mam do tego?

— Jakto, i nigdy nie mówisz kolegom? Żaden przecież nie wie, czy ci to jest obojętne?

— O nie, ale ja nigdy nie mówię nikomu, jak jestem szczęśliwy.

Zdaje mi się, że trafnie określił, nie tylko możemy, ale powinniśmy mieć najwyższy kult dla zasługi, a o ile jesteśmy z nią związani rodowo, jesteśmy szczęśliwi. Dumni nie mamy być z czego, nie nasza przecież zasługa.

Ale tymczasem jesteśmy dumni i często, niestety, nietyle z zasługi, ile z majątku i znaczenia rodów, z których pochodzimy, lub z którymi jesteśmy związani węzłami pokrewieństwa lub nawet przyjaźni tylko. Ale, ostatecznie, powie kto, co to komu szkodzi?

A właśnie, że szkodzi i bardzo szkodzi. Utrudnia zwykle życie przeciętnego pracownika.

Utrzymując stosunki towarzyskie, interesujemy się zawsze „pochodzeniem“ naszych znajomych. Pewno, nie pytamy już dziś tak często: kto kogo rodził, nie narażając się na dowcipną, słynną ongi ripostę: niewiasta—niemniej jednak ileż razy razi nas, to pochodzenie ze sfery mniej świetnej. Ile razy, nie mogąc żyć na stopie „odpowiedniej“, z racji skromnych środków, ograniczamy nasze życie towarzyskie, bo nie wypada zawierać bliższych znajomości z ludźmi z innej sfery, choćby byli oni naszymi kolegami w pracy zawodowej.

Ileż to razy widzimy pobłażliwy uśmiezek, lub słyszymy teorię dowcipów na temat nazwisk, jakże często dzielnych, nawet zasłużonych, lecz nie kończących się na tradycyjne „ski“ lub „wicz“. Pieśń przeszłości? Wcale. Zupełnie teraz, w tej chwili. Mam w pamięci świeżą i wcale nie zakorzenioną jeszcze sprawę: młody człowiek własną pracą dorobił się przyzwoitego stanowiska, nawet niegorszego majątku. Nazwisko było, nie arystokratyczne, ale na przeciętne „ski“. Zaręczył się, miały wyjść zapowiedzi. Przy wydobyciu metryki okazało się, że coś tam przekreślono w papierach, czy w czasie zawieruchy wojennej omyłkowo, czy może „przez pół namyślnie“ z racji fałszywej, arystokratycznej ambicji rodziców młodego człowieka, dość, że nazwisko brzmi wprawdzie prawie tak samo, ale z inną końcówką i nie dźwięczy już tak dobrze. No i kto by uwierzył? Jest z tego powodu prawdziwy dramat i kto wie, czy nie zerwanie małżeństwa!

I to wszystko dziś, teraz, w wieku radja i samolotu, w przededniu rakiety międzyplanetarnej i w samym środku Europy.

Więc mamy zaprosić na five o'clock swego dozorcę? (autentyczne, powiedziano mi tak kiedyś dosłownie).

Kiedy nie o to chodzi. Poziom kultury musi być mniej więcej równy w stosunkach towarzyskich, w łączeniu się w związki rodzinne tak samo. Trzeba jednak mieć na uwadze dwie sprawy: po pierwsze, czy ten poziom kultury i poziom wychowania domowego (b. ważne, a b. często zaniedbane) zależy zawsze od pochodzenia i sfery, po drugie, czy choćby nawet były w tem minimalne różnice, nie należy starać się o ich zniesienie, zrównanie w sensie oczywiście podniesienia poziomu tych, którzy wchodzą na arenę życia mniej świetnie ogładzeni i obcy, mniej wysubtelnieni kulturalnie.

Na pierwsze pytanie możemy także zgóry odpowiedzieć, że aczkolwiek „rasa“ nie pozostaje bez wpływu na zachowanie się towarzyskie, to z poziomem kultury ma niewiele wspólnego i wcale on od niej nie zależy.

Druga sprawa zato jest o wiele ważniejsza. Łączenie się w pracy zawodowej, społecznej, w działalności publicznej, koleżeństwa w wojsku, w szkole, przy wszystkich warsztatach pracy, dokonywa olbrzymiego przewrotu w kierunku zrównania klas społecznych. Zrównania nie formalnego wobec prawa, bo to już jest, ale istotnego, zrównania najważniejszego: na platformie jednakiej kultury. Otóż temu procesowi społecznemu powinniśmy dopomagać ze wszystkich sił, aby ewolucyjnie, bez przewrotów i gwałtownych wstrząsów doszło i u nas z czasem do tego, naprawdę równego poziomu kulturalnego wszystkich, bez względu na pochodzenie i stanowisko.

Ciągle wypominanie danego pochodzenia, obnoszenie po świecie wyższości, dawno nabytej i dość dawno przeważnie utraconej, nie jest chyba najlepszą drogą do tego celu.

W sprawach czysto prywatnych i osobistych to też kamyczek na drodze. Skąd np. bierze początek niechęć naszej inteligencji do każdej pracy fizycznej, do wyboru t. zw. drogi „fachowej“ w życiu? Właśnie z tych arystokratycznych pierwiastków. Ileż to kobiet ma prawdziwe zamiłowanie do gospodarstwa, krawiectwa, robót, ilu mężczyzn do różnych prac fizycznych, rozlicznego „majstrowania“, albo handlu i przemysłu. Idą na tę drogę, owszem, ale zwykle kiedy? Wtedy, jeżeli zdolności i środki pozwalają na ukończenie wyższej uczelni w danym zakresie. Bo wtedy ma się stanowisko kierownicze, jest się szefem, pracownikiem umysłowym. Ale średnia szkoła zawodowa i potem miejsce zwykłego pracownika? Cóż znowu! Brało się bylejaką „posadę“, byle biurową, aby się nie deklasować. I dopiero kryzys zaczyna niwelować uprzedzenia i uczyć ludzi trochę praktycznego rozsądku w tym kierunku.

A w naszym braku energii finansowej, w niechęci upominania się o swoją należność, o sprawiedliwe wynagrodzenie, w fałszywym wstydzie brania różnych „honorarjów“ (też nazwa!), które są nieraz tak potrzebne, a które staramy się podejmować od niechcenia, jakby z łaski. Wszystko to pochodzi z niewyrobienia poczucia godności zarobku, z psychiki ludzi, którzy dawniej, kiedyś nie potrzebowali zarabiać, troszczyć się o dochody z pracy, o zapłatę za nią. Dziś potrzebujemy i bardzo, ale zabytki szczałkowe zostały w psychice i bruźdzą.

To, i wiele innych drobnych a ważkich wad to nasz arystokratyzm, bynajmniej nie duchowy, przeciwnie dosyć materialny i wcale nie mądry i to trzeba starać się usunąć. Od pewnego czasu robi się już coś niecoś w tym kierunku. Trzeba starać się intensywnie robić jeszcze więcej, usunąć ten balast, aby, pozbywszy się jego obciążenia, ująć życie poprostu, racjonalnie i solidnie.

N. J.

Dzisiaj jest wielkie pranie!

Pojęcie to — od czasu gdy jest Radion, już nie przeraża. Pranie Radionem sprowadza robotę do minimum. Należy poprostu włożyć pojedyncze sztuki bielizny do zimnego roztworu Radionu i gotować je przynajmniej 15 minut. Największą zaletą Radionu jest to, że pierze wszystko do czegokolwiek jest użyty, dokładnie, nie niszczy tkaniny i czyni ją białą jak śnieg!



Ogromnie praktyczny — obecnie także w podręcznych małych paczkach

RADION
sam pierze!

RADION

JEST UNIWERSALNYM ŚRODKIEM DO PRANIA

RP 18-34

STANISŁAWA SZNAPER.

Makaron

Rosół zjedzony. Już jest,
Tłusty kurczak, szparagów kły:
Salatkę, szparagi, kurczę
Nakładacie na talerze płaskie.

Zadławiona pośpiechu skurczem
Wciągam długie makaronu laski:
Drażni mnie to, że nie mogę jeść
Tak prędko, jak wy.

Już z talerzy wszystko wam znika:
Już i obiad i deser zszedł.
Stoją szklanki mocnej herbaty,
Dymiące, tchnące parą.

Ja jeszcze rurki polykam.
Jeszcze dużo, jeszcze nie ostatek.
Talerz pełen oślizgłych trzew.
Jeszcze ciągle makaron, makaron...

O szczęśliwi, o pustych talerzach,
O szczęśliwi, pośpieszni i zdrowi.
Niczego nie macie za dużo:
Za ubóstwo nie będzie kary.

Poczekajcie na zachłanne zwierzę!
Zatrzymajcie się w swojej podróży!
Nie nadażę. Mam w duszy i w głowie,
Na talerzu i w sercu — makaron.

Wtedy zerwała się nagle zła i zbuntowana:

— Na klucz? A cóż dla pana znaczą klucze? Pan wchodzi przez okna...

Odpowiedział nadszpiewanie cicho i smutno:

— Ale tym razem nie wejść...

Irena w ubraniu rzuciła się na łóżko. Zgasła świecę i wpadła w czarną otchłań snu czy omdlenia.

Gdy obudziła się nazajutrz, była godzina szósta rano i najcudniejszego, słoneczny dzień wiosenny. Pobiegła do pokoju, gdzie przygotowała była posłanie dla „gościa”. Na bieli nietkniętej poduszki ujrzała małą brudną kartkę wydartą z notesu, a na niej słowa:

— „Mający umrzeć — żegnają Cię, miła Pani...”

Skwapliwie uprzątnęła pościel, aby nikt ze służby nie dowiedział się o nocnej wizycie oficera.

Dnia tego chodziła wolno po alejach Cudnowskiego parku, niezdolna do jakiegokolwiek sensownej, gospodarczej akcji. Złośliwy chochlik — wspomnienie, przywiało skądś frywolny refren kupletu, ilustrującego jej sytuację:

„Zgrzeszyłam raz —

Późny czas

Ciemny las...

I gdzie jestem — nie wiem, nie wiem...”

Nie zgrzeszyła wprawdzie, ale dzięki wspaniałomyślności tego... tego bandyty...

Wymówiła w myśli to słowo i zaraz pożałowała. Nie zasługiwał na nie przecież, ale, ale...

Irena była z siebie mocno niezadowolona.

W parę miesięcy później wyszła zamąż. Było to poprostu koniecznością wobec geograficznego położenia Cudnowa.

Jedna z wiejskich kobiet powiedziała do niej któregoś dnia:

— Mąż to tak, jak zły pies. Z nim źle, ale bez niego jeszcze gorzej...

Irena przyznała jej rację na kredyt.

— Czyż ja mogę tu mieszkać sama jedna, o sześć kilometrów od bolszewickiej granicy? — dumiała zatroskana. Wczoraj Jaworski, a jutro może Mucha-Muszyński czy inny jaki ptak niebieski, wskoczy mi przez okno o północy i każe sobie przyrządzić kolację.

Wyszła więc za swego Karola. Minęło parę lat. K. O. P. wytepił bandy zbójcekie. Uspokoił błędnych rycerzy. Stało się zupełnie bezpiecznie, nawet o kilka kilometrów od bolszewickiej granicy. Mąż jednak

już pozostał. Był rozsądny, spokojny, pracowity. Wszystko czynił milczkiem. Lubił mieć parę razy w tygodniu sztukamię z sosem chrzanowym na obiad, a w zimie kwaszone ogórki do pieczenia. Drobnostka. Irena pamiętała o tem. Liczył się ze zdaniem żony, pomny na fakt, iż majątek jest jej własnością. Zaraz na początku ich pożycia, gdy spodziewała się dziecka, wypłynęło raz jeszcze, po raz ostatni, nazwisko Jaworskiego. Przeszedł był kordon sowiecki i osaczony przez bolszewickie posterunki zginął okrutną śmiercią. Tak mówiono. Gnił w ziemi, zanim ona zdążyła urodzić pierwsze swoje dziecko. Stało się jak przepowiedział... Wprędce zapomniała o nim.

Upływały lata...

* * *

Gdy Irena weszła w nocy, po powrocie z kuligu, do swojej sypialni małżeńskiej, Karol już spał. Odwiozł był lojalnie panią Katię do jej majątku, spieszenie pojechał do Cudnowa, rozebrał się i zasnął.

Irenę uradowało to i ubodło zarazem.

— Ani dba, ani dba! — myślała patrząc na siwą, roztrzęsioną czuprynę męża, wynurzającą się z pod kołdry. Na ramionach czuła miękkie, gorący płaszcz, utkany z męskiego pożądania, dokoła siebie całej, jakiś ognisty, magiczny pierścień, koło czarodziejkie, zakreślone rozkochanemi ramionami Borysa, — w każdej kropli krwi — odzew na jego tkliwe i gwałtowne słowa. Nie rozbierając się, usiadła na łóżku, zasłoniła twarz rękami i zatęnęła w marzeniu.

Nie wiedziała dotąd, co znaczy być kobietą. Władca z natury, uważała w skrytości ducha kobiety za istoty pokrzywdzone. Żałowała, że nie urodziła się mężczyzną. Mnie-mała, że tylko do nich, mężczyzn, należy świat i życie ze wszelkiemi możliwościami. Była w błędzie. Czuła to teraz. Nie miała poprostu nigdy okazji być kobietą. Żyła więc i nie żyła. Wiodła egzystencję niekompletną. Dzisiaj dopiero, dopiero teraz...

Karol zaczął pochrapywać zcicha. To ją przywołało do rzeczywistości. Spojrzała na małżonka zamglonym wzrokiem i pomyślała zdziwiona:

— I po co on tu leży? Czy to jego miejsce? I co ja z nim teraz zrobię?... Czy to jest mężczyzna? Zimny jest jak solony śledź, milczy mi nad głową już od szesnastu lat i dziwi się, wszystkiemu się dziwi, jakby był... dziewczęc...

Irena nie lubiła „warszawskich” dowcipów, które powiewy ze świata donosiły aż do kresów Polski, ale ten „witz” wydał się jej w danym momencie ogromnie na czasie. Był zaś aluzją do pewnego zdarzenia, którego nie mogła aż dotąd wyrzucić z pamięci.

Chodziło o toaletę letnią. Kiedyś parę lat temu, zamarzyła o białej sukni. Przy stole zwierzyła to swemu milczącemu mężowi. Zajadał właśnie sztukamię z sosem chrzanowym, ale ku zdumieniu Ireny przemówił:

— Białą suknię może tylko nosić osoba bardzo piękna i bardzo młoda.

Zaprzeczyła żywo:

O, wcale nie. Zagranicą (czytała o tem) najstarsze panie ubierają się w lecie białe. Co zaś do piękności, to także jesteś w błędzie. Tu odgrywa rolę tylko cera. Mnie naprzykład jest bardzo dobrze w białem.

Karol odłożył nóż i widelec.

— Tobie, — spytał tonem najwyższego zdumienia. — Tobie w białem?... Tobie?... Tobie?... Tobie?...

Poczem roześmiał się, wzruszył ramionami i zabrał się do gazety. Irena umilkła, ale tego incydentu nie zapomniała nigdy. I teraz zdarzenie to wywlokła niby armatę wielkiego kalibru przeciw niewinnemu uśpionemu Karolowi.

Spojrzała raz jeszcze na siwą, rozczochraną głowę:

— Czy mu się jeszcze cośkolwiek ode mnie należy? — pomyślała. Była pewną niemal, że nie.

* * *

Irena nigdy nie przypuszczała, aby miłość nielegama — nie tylko miłość — nie mówiąc bynajmniej o zdradzie, była obstawiona takimi trudnościami. Jak tu widywać Borysa, nie budząc podejrzeń, nie zwracając niczyjej uwagi? Mieszkali tylko o kilka kilometrów oddaleni od siebie, ale nie łączyły ich stosunki towarzyskie. Przy obecnych zaś warunkach nawiązywanie bliższej znajomości między ich domami wydawało się obojgu zgoła niemożliwym. Zresztą spotkanie Demidowa tam u niego, w majątku jego żony, nie kusilo Ireny bynajmniej. Była zbyt zaborczą, aby chcieć przebywać z nim w „ciepelku” ich domowego ogniska. Pragnęła go mieć dla siebie, wyrwanego z otoczenia, gdzieś między niebem a ziemią. Nawet nie tu w Cudnowie, pod okiem Karola. Ot, gdzieś, gdzieś „na wolności”.

Jej miłość była jak spóźniona bardzo wiosna, która zesła się z la-

tem, wybuchła niewiosennym upalem, pomieszała kwiaty jabłoni z pasowemi lipcowemi różami. Od czasu owego kuligu widziała Borysa dwa czy trzy razy na targu w najbliższym miasteczku i raz w gminie. Wracali wtedy razem, usadowiwszy obu furmanów na jednym wehikule, a sami umieściwszy się na drugim. Mówili niewiele, ale Borys zapytał:

— I cóż będzie z nami, Iri?

Podniosła na niego oczy pełne płomieni:

— Nie potrafię żyć bez Ciebie — rzekła porywczo. — „Przestawię“ wszystko w Cudnowie, wszystko zmienię. Karol ustąpi. Czy przędziesz wtedy do mnie?...

Demidow patrzył urzeczony na tę dojrzałą kobietę, która jednym pieścotliwym słowem zbudził z drętwego, wieloletniego snu. Płonąła teraz jak złoty, suchy snonek słomy pod jego spojrzeniem. Ogromna tkliwość ogarnęła mu serce. Spojrzył przez ramię, na jadących za nimi furmanów. Niestety czuwali. Nie mógł porwać jej w ramiona. Schylił się tylko w uroczym i żartobliwym ukłonie. Usta składały się jak do pocałunków w chwili, gdy wymawiał słowa ulubionego przeboju:

— Dla pani wszystko...

Nastał maj, upalny jak lipiec. Przez cały dzień ciała ludzkie nasycaly się potężną energią słońca. Wieczorem budziła się tęsknota. Irena odczuwała po raz pierwszy w życiu ten niebezpieczny, tajemniczy rytm. Kładła jasny płócienny płaszcz i miękki biały kapelusz. Biegła do stajni. Kazała sobie zakładc konia do „linijki“, ujmowała lejce i ruszała w pole. Działo się to zwykle w godzinie, gdy Karol z parobkami powracał już do domu. U pewnej miedzy czekał Borys, pieszo, ubrany jak do partji tenisa. W milczeniu podchodził do jadącej, odbierał jej lejce i siadał obok. Zaraz też bez słów, ramiona zaczynały szukać się wzajemnie, usta tuliły się do siebie z rozpaczliwą tęsknotą. Koń zostawiony sam sobie oglądał się chwilami, zdziwiony ludzkim szaleństwem. Przystawał, skubał trawę, wtaczał linijkę w najgorsze koleiny. Jadący podskakiwali na wątpliwych resorach, jak bezwolne piłki, przycinali sobie języki zębami, ale to nie psuło im nastroju.

— Bajka, najcudowniejsza bajka — szeptała Irena i tuliła głowę coraz mocniej do piersi Borysa.

Karol nie ustąpił bez walki. Gdy spostrzegł się, że jego „baba zwarzjowała“, przemówił po szóstastu latach milczenia. I odtąd już często bywał mowny. Irena miała z nim niemało utrapienia. Na szczęście syn ich był wtedy w powiatowym mieście, w gimnazjum.

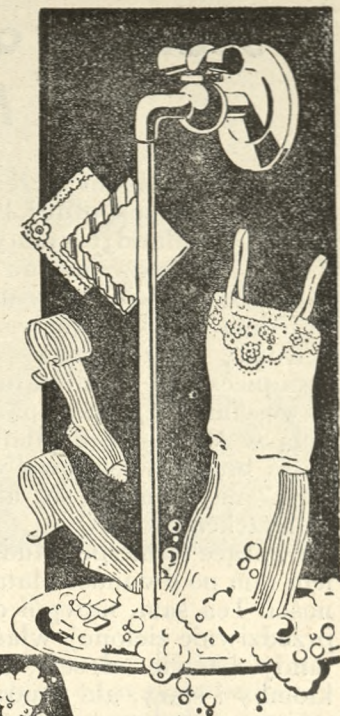
Sztuczny jedwab pierze się w Luxie bez zarzutu!

Co za wygoda i co za przyjemność, że wrażliwy jedwab sztuczny — prany na zimno w Luxie — pozostaje nadal jak nowy! Przez nowy Lux sztuczny jedwab zachowuje swoją elastyczność, miękkość oraz piękną barwę.

Znacznie tańszy — a jednak lepszy

NOWY LUX

DAJE NATYCHMIAST PIANĘ W ZIMNEJ WODZIE



Karol opierał się przez dwa miesiące, zanim podpisał zgodę na rozwód i zdecydował się opuścić Cudnow. Irena proponowała mu alimenty, ale odmówił.

— Com robił — robiłem dla ciebie i dla naszego syna, nic więc nie przyjmę, dopóki interesy Józia nie będą zagrożone. W tym jednym wypadku zastrzegam sobie prawo interwencji.

W dniu wyjazdu padły najgorzsze słowa:

— Orałem-ci jak parobek przez lat szesnaście! Ha, trudno!... Za to mogłem się czasem „przytulać do jasnie pani...“

Cytował Boy'a, o czym Irena nie wiedziała i co nie byłoby jej ułagodziło. Wszelkie aluzje do ich poprzedniego małżeńskiego pożycia zawstydzaly ją boleśnie. Wolałaby być panną aż do dnia pokochania Borysa.

— Czekaj, czekaj — ciągnął dalej Karol — ja jestem zimny? No, on będzie gorętszy... Tylko, że jak zacznie ci tu pod bokiem romansować z kucharkami, pić i grać w karty, zobaczymy, czy wytrzymasz...

Irena stała się purpurowa:

— Proszę cię, Karolu...

Ale mąż wyszczerzył już jadownice zęby i mówił:

— Nie, nie, on nic złego nie będzie robił. Nie będzie miał na to czasu. Całą noc będzie całował, cały dzień będzie grał na bałajce...

Irena zakryła twarz rękami. W jej miłości zeszyła się wiosna z latem. Jeśli pragnęła nawet tych nocy, to tak wstydliwie jak dziewica, a tu taki cyniczny ton... Ach, co za męka.

Lecz ten niemy, kobiecy gest doprowadził Karola do wściekłości. Chwycił krzesło, trzasnął nim o podłogę i krzyknął:

— A Cudnow tymczasem chłopie rozkradną, rozniosą na cztery wiatry... Potom orał...

Przebrała się miarka. Irena odjęła ręce od swej smagłej cygańskiej twarzy, uderzyła dwukrotnie w dzwonek, stojący na stole. A gdy weszła służąca:

— Konie dla pana — rzekła porywczo. Spóźni się na pociąg.

Sapiąc i dysząc, podążył Karol do przedpokoju. W jego mniemaniu ten nickszemny Moskal dopełnił piątego, najboleśniejszego rozbioru Polski.

Uplłynęły zgórá dwa lata od chwili, gdy Irena została panią Demidową. Wszystko „przestawiła“ w Cudnowie, zmieniła, podporządkowała swojej miłości. Przez pierwszy rok była całkowicie ślepa i bezmiernie zakochana. W drugim roku jednak zaczęła z wolna otwierać oczy na sprawy majątku. Nie szło dobrze, nie. Wiele rzeczy szwankowało. Czy był temu winien kryzys i ciężkie ekonomiczne warunki kraju, czy wadliwa administracja miejscowa? Karol jednak trzymał jakoś mocniej lejce cudnowskiego wehikułu. Prawda, że orał jak parobek. Czasami nawet w nocy zrywał się i zaglądał na folwark. Od Borysa trudno było tego wymagać. Pracował jednak także.

Niemniej przeto okazywały się zaległości, nieopłacone pensje, przeoczone podatki, niedopatrzona weksle. Irenę ogarnął niepokój.

(d. c. n.)

S. Borowska.

Jedna z ostatnich entuzjastek — Maila Talvio

Poza oficjalnym przedstawicielstwem Rzeczypospolitej Polskiej na terenie Finlandji mamy nieurzędową, ale jakże mocno z wszystkim, co polskie związane placówkę, dom polski państwa Mikkola.

Każdy cudzoziemiec, zwłaszcza jeśli pieczętuje się literaturą, kołaczy do gościnnych progów państwa Mikkola w Munksnäsie; dlatego to być może brama wjazdowa willi „Lak-solla“ nie zamyka się nigdy przed zmierzchem...

W gorące letnie popołudnie zajrzałem tam po dwunastu latach niebytności. Ten sam, nawpół dziki sad o przedziwnie zielonej, właściwej Finlandji barwie drzew, malownicze klomby i stary, ale dziarsko jeszcze stojący na uboczu domek. Zdaleka słychać już gwar: to poobiednie gawędy z gośćmi, dziennikarzami z Rzymu, którzy przybyli tu przed godziną. Witają mnie oboje gospodarze tak serdecznie, (jakbyśmy się widzieli przed miesiącem. Młodzi włoska opowiada z zapalem swoje wrażenia finlandzkie, zachwycają ją tysiące skał i jezior. Pani domu osobiście częstuje nas słodyczami, w toku zaś rozmowy wydaje się, że znamy się wszyscy oddawna. Taki to, przedziwny czar posiada wiejska siedziba najwybitniejszej powieściopisarki fińskiej, jaką jest pani Mikkola — Maila Talvio.

Nie zmieniło (jej te kilkanaście lat, nie ostudziło w niej wiary w ludzi i w szczytne posłannictwo sztuki.

Jest ona, jak dawniej, tą samą, niepoprawną entuzjastką: każde wrażenie iskrzy się w jej ciemnych, żywych źrenicach, każde zdanie wypowiada mocno i zdecydowanie.

„Będziemy dziś rozmawiali długo“... mówią mi jej dobre oczy, zgadzając, że ta rozmowa to cel mego przyjazdu.

Młodzi Włosi zegnają się, udając się tegoż wieczora w dalszą podróż. Za chwilę pozostajemy już tylko we troje.

W zacisznym gabinecie autorki, o zbliżającym się zmierzchu zasiadamy do pogawędki, treść której pod wieloma względami przeszła moje oczekiwania.

* * *

— Ścisłe mówiąc, zaczyna pani Talvio, zostałam literatką przypadkowo. W rodzinie mojej było wiele zamiłowania do muzyki, byłoby więc rzeczą naturalną, gdybym kształciła się w tamtym kierunku.

Muzykę kochałam od dzieciństwa i szczerze powiem, że do dziś żałuję, że los pokierował mną inaczej. Żal mi tych niespełnionych marzeń...

Oczy pani Talvio patrzą na mnie, jakby czekając na odpowiedź. — Mieszkałam na wsi, od lat najmłodszych i dlatego zapewne interesowało mnie życie, psychika naszego ludu. Zaczęłam pisać, mając lat 15, czy jednak była to — literatura, Los rzucił mnie aż na Litwę, gdzie poprzez



Maila Talvio.

Niemen ujrzałam poraz pierwszy waszą, tak mi dziś drogą, Polskę.

Pod wrażeniem jej przyrody spróbowałam pióra i pierwsze dziewczęce jeszcze „Listy z Litwy“ były moim pierwszym grzechem literackim.

Było to, wstyd mi przyznać, w roku 1895, a więc — straszliwie dawno!.. Jestem jedną z tych, które narkreśliły sobie wcześniej plan twórczości. Żywo interesowała mnie „dusza wsi“, jej ciche konflikty i zdarzenia. Prawie wszystko, co dotąd napisałam, obracało się w tej orbicie. Niemniej głębszą wydawała mi się zagadka duszy kobiecej; poświęciłam jej dużo swoich książek.

Zapytuję, w jakiej kolejności szły po sobie cykle powieści pani Mikkola, znane nam jedynie z tytułów, w Finlandji zaś bardzo cenione.

— Jedną z pierwszych prób pióra była moja „Huštanka“, mówi autorka, — oczywiście i zbiór nowel, na których próbuje swoich sił każdy prawie pisarz. Większą powieść dałam dopiero później. Było to „Zburzenie dalekiej chatki“, w której poruszyłam dzieje duszy młodego wiejskiego dziewczęcia. Tworzyłam podobno zawsze (jak wzmiankowała krytyka), przez pryzmat muzyki. Widocznie te niewyzyskane zdolności dawały znać o sobie, nie umiałam tworzyć bez uczucia i nastroju... Od 19-go roku życia jestem zamężną i mieszkamy tu obdaje, pod stolicą. Ileż skorzystałam od mego Męża, który jako sławista, zbliżył mnie do poznania waszego języka i — kraju.

Poruszałam często sprawy życia kobiety współczesnej, idealistycznie w „Pajaku“ i związanych z nim nowelek, głębiej w „Jolincie“.

W ostatnich latach badałam nasze życie akademickie, w którym tak



Nad cichem jeziorem.

czynny udział brał mąż mój, jako profesor tutejszej Wszechnicy.

Rezultatem mych badań była „Złota lira” — odbicie życia naszych korporantów.

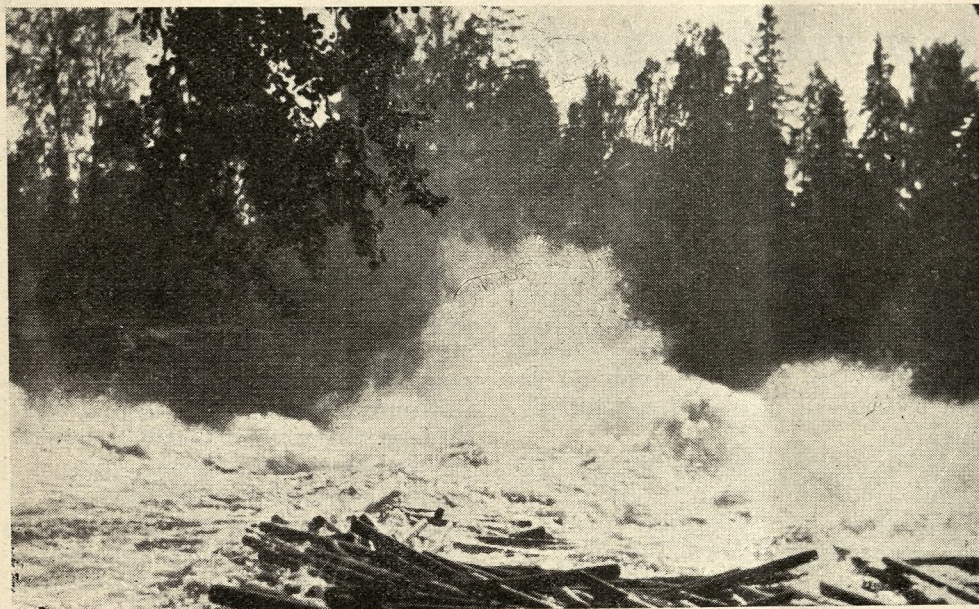
Wojna światowa i jej skutki skierowały moją uwagę na inne tory. Zaczęłam szukać przyczyn, które spowodowały ten straszny kataklizm światowy o rozpiętości niezwyklej: od beztroskiej „vogue la galère” na przelomie wieków do — bohaterstwa narodów, z którego wzięła swój początek Wolność nasza i — Wasza...

Nazwałam tę książkę „Dziećmi Ninivy”, nie jest to jednak najulubieńsza z moich powieści... Zresztą w twórczości kochamy zazwyczaj najbardziej to, co tworzymy w danej chwili.

— Co piszę ostatnio? — Powieść o naszej stolicy, o Helsinkach. — Się-



Morze u brzegów Finlandji.



Wodospad Imatra.

gam aż do epoki jej powstania, do 18-go stulecia... Dużo mozolnej pracy mam przy takiej rekonstrukcji. Będą to jednak raczej dzieje pokoleń, niż historia miasta...

A propos — *pokoleń*... Zapomniałam Panu wspomnieć jeszcze o jednej powieści, w której te — *pokolenia* są głównymi bohaterami. Wierzę, że elementami twórczymi w życiu są jedynie *ból* i *tesknota*. Pisałam więc o ewolucji tych elementów z pokolenia w pokolenie. Ze smutku wielkiego grajka, któremu los nie dał zostać artystą, poprzez dwie jego córki: Sorję i Tumę — aż do ostatnich walk o Niepodległość snuje się moja teoria. I ten smutek przeradza się w mojej opowieści w zwięźszy *czyn* dzisiejszy...

Zapytuję o powód tak gorącej sympatji do Polski, jaką odznacza się Maila Talvio oddawna.

— Była to dziwna rzecz — odpowiada mi, — że w dzieciństwie mojem słyszałam tu, w dalekiej od was

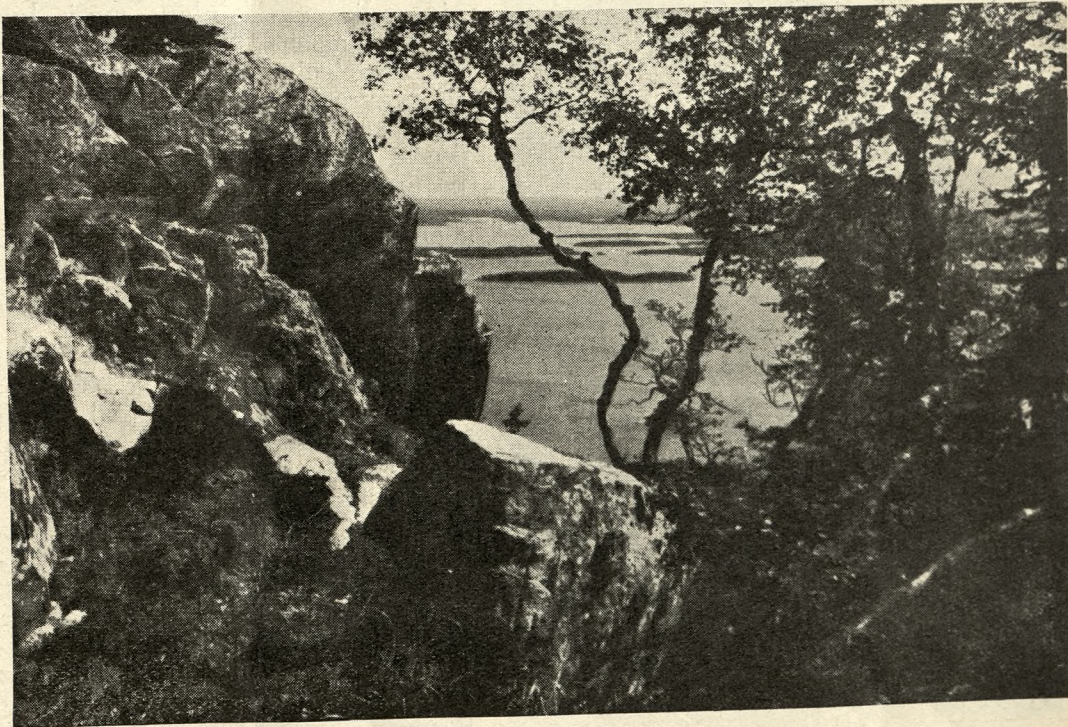
Finlandji, pieśń, czy balladę o studentcie polskim, co w powstaniu zginął. Jej banalna melodia zawiera jednak treść tak tragiczną, że zwróciła moją uwagę. Miałam wówczas... 5 lat i z całej duszy dziecięcej pokochałam tego biednego studenta...

W wiele lat potem przyszło mi poznanie waszej literatury i — kraju. Byłam w trzech dzielnicach Polski i przywozłam z nich nietylko miłość dla ziemi waszej, ale... ją samą...

Tu wskazuje mi szerokim gestem swoją, oprawną w ramy, niezwykłą relikwię...

Ostatni raz byłam w Polsce przed rokiem i gdybym mogła, zostałabym u Was długo, długo...

Entuzjazm i ekspresja wypowiedzenia się są tak szczere, tak bezpośrednie, że wzruszony jestem do głębi. Zapytuję ostrożnie o odznaczenie



Typowy krajobraz finlandzki: skały, woda i las.

„Polonja Restituta“, otrzymana przez autorkę przed kilku laty.

Pada krótka, ale także niezwykła odpowiedź:

— Wasze ordery, tak jak i ziemia zroszone są krwią bohaterów... Gdybym mogła, nosiłabym je wprost na sercu, aby ich nie widział nikt...

Nastaje zmierzch, z sąsiedniego pokoju słyszę głos prof. Mikkola, wzywający nas do stołu. Rozmowa, tak pełna romantyzmu, urywa się ku mojemu żalowi, miałbym wszak tyle jeszcze do zapytania.

Gdzieindziej dowiaduję się o uznaniu, jakie cała Finlandja ma dla

swej powieściopisarki, piszą o Niej *Koskeniemi* i *Sillampää*—dwaj najwybitniejsi politycy w kraju. Szereg nagród literackich, w tem wielka nagroda Helsingforsu stały się ostatnio jej udziałem.

Dom pp. Mikkola łączył od wielu lat przyjaciół Polski, jeszcze wówczas, kiedy panowali zaborcy. Dziś, jak wtenczas, zbierają się tam wszyscy ci, którzy dotąd pozostali w Finlandji. Tu zrodził się ostatnio projekt uczczenia 100-letniej rocznicy „Pana Tadeusza“, znakomicie przełożonego na fiński przez Trasta.

Każdy gość z Polski znajduje tam

nie tylko pomoc i radę, ale i to, co na obczyźnie najdroższe: ciepło i — kulturę, tak nieprzeciętną, jak niezwykłym jest w tych czasach entuzjizm życiowy Maili Talvio...

Zawdzięczamy jej wreszcie cykl przekładów Sienkiewicza i Orzeszkowej.

Było już bardzo późno, kiedy zamykano za mną bramę siedziby wieśkiej pisarki fińskiej, która ofiarowała mi tym razem rzecz stokrotnie cenniejszą od — wywiadu, bo jeden dzień swego życia.

Wł. Burkath.

Warszawa, wrzesień 1934.

To, co najważniejsze

5

Sprawa regulacji urodzin, o której nie od dziś mówi się na licznych kongresach i zjazdach kobiet wszechhinduskich, o której debatuje się z wzrastającą zawziętością na łamach pism, nie odbija się najslabszym bodaj refleksem w masach ludowych, gdzie nakaz religijny jest i będzie zapewne przez długie lata jedynym regulatorem tego par excellence narodowego zagadnienia.

To znaczy, każda bez wyjątku Hinduska ma nakazane urodzić tyle potomstwa, ile wytrzyma jej organizm! Do tego bowiem sprowa-

dza się jej racja bytu na ziemiach hinduskich, jej rola życiowa. Gdy się przemierza półwysep wzdłuż i wszerz, mija się setki osiedli, miast i miasteczek, uderza uwagę cudzoziemca przede wszystkim ta bujna płodność Hinduski. Nie widzi się bowiem kobiet bez dzieci: uczepionych jej sari, piastowanych na ręku, wiszących w chustkach na plecach.

Jeden malec zaczyna biegać, drugi tuli się do łona, trzeci obwieszcza triumfalnie swe niedługie przybycie. Na południu czy północy, w górach czy dolinach, na zachód czy wschód wszędzie, wszędzie plantacje... małych, czekoladowych człowieczków! A żywotność ich, mimo nieprzeliczonych plag, musi być bujna i mocna. skoro w ostatnim dwunastoleciu każdy rok wzbogacił się przyrostem ludności o 4.000.000.

Za każde dziecko dziękuje Hinduska bogom. Na dziewiąty dzień po urodzeniu potomka składa ofiarę w postaci owoców, kwiatów, fałaszek złoconych. Niekoniecznie potrzebuje udawać się do świątyni, aby zadośćuczynić potrzebie modlitwy.

Hindusi żyją faktycznie w stałej symbiozie obcowania ze światem swych bogów, którzy są dla nich realni i namacalni, jak przyroda, która ich otacza. Są przecież w istocie cząstką przyrody.

Poza nieśmiertelną „trójcą“ hinduską *Shiva* (bóg zniszczenia), *Vishnu* (bóg opatrnościowy) i *Brama*, idzie dalej bogini *Parpati* (małżonka Shivy), obdarzona nadprzyrodzonymi mocami, *Ganesh*, syn ich, bóg radości ziemskich i miłości, oraz liczne reinkarnacje, z których najpopularniejsze: *Rama*, *Krishna*, *Sita* i t. d. Na Olimpie bóstw hin-

duskich znajduje się niezliczona ilość mniej ważnych bogów i boginek, wcielonych w świat przyrody.

Tu zresztą nie tylko ciasny umysł, ale najbujniejsza wyobraźnia Europejczyka zgubi się bez reszty, gdy się zważy, że liczba tych istot nadprzyrodzonych, a potężnych, tych patronów kierujących losami ludzi dosięga cyfry... 330.000.000! Istnieje też kult zwierząt, drzew, planet i najfantastyczniejszych fetyszów. A więc mniej więcej: orzeł (latał na nim bóg *Vishnu*), łabędź (pływał na



Pan młody z Rajputany.



Panna młoda.

nim Brama, paw — ukochany ptak bogini Parvati, małpa — prawa ręka Ramy w niebezpiecznych wyprawach przeciwko djabłowi, Rawanowi.

Wężę podtrzymują na głowach swych kulę ziemską. Kobra trzyma baldachim nad świętym Vishnu. Słoń nie dopuszcza do końca świata i jest dawcą deszczu. Święta krowa Bramy (czcił ją jak matkę) itd. itd.

Kamienie z wizerunkiem żmiji lub głowy wolu, pomalowane czerwoną farbą sandalową, rozsiane są po wszystkich drogach i ścieżynach półwyspu, umieszczane często pod

drzewami: bazylik, dzika figa, banan, akacje. Słońce, księżyc, gwiazdy, ocean, rzeki z Gangesem i Narmudą na czele i ryby, które strzegą miejsc świętych przy rzece, gdzie spalane są zwłoki; paw, krokodyl i tygrys i wiele, wiele innych zwierząt!

Każde z tych bóstw domaga się należytą część dla siebie w duchowem życiu człowieka, który nie żyje w terażniejszości, ani nawet w życiu poprzednim, tylko w wieczności! Człowiek wybraniec Bogów.

Hanna Skarbak-Peretjatkowicz.

„Wirówka“ na Sokólskiem

Pannie Celinie Tarnawskiej.

Ktoś twierdził, że wycieczka się nieudała, dlatego, że poszło na nią 13 osób. A nie udała się podobno, bo był deszcz. Nie zgadzam się. Wstawiam się za deszczem. Deszcz jest zawsze w y p a d k i e m. I do tego przeważnie niespodziewanym wypadkiem. Nigdy o nim nic nie wiadomo, kiedy się zacznie, kiedy się skończy, czy będzie duży, czy mały. Jest kapryśny i zmienny. Jednym słowem interesujący. Nie mógł więc wycieczki popsuć, najwyżej ją ożywić. Tak właśnie się stało, wycieczka nabrała przez deszcz wyrazu i smaku.

Rano była najczystsza pogoda. Horoskopy świetne, prócz nieprzerwanego potoczka słów, lejących się niestrudzenie z ust pani doktorowej, mającej nam towarzyszyć. Popis zaczęła już przy śniadaniu, do którego zasiedliśmy wcześniej od innych towarzyszy zakładowych. Widząc samotną doktorową przy jednym stole, przecznie usiedliśmy przy drugim. Naprawdę. Mówiła nieprzerwanie do naszych pleców. W ciągu kwadransa dowiedzieliśmy się o wszystkich bohaterkach jej przygodach wycieczkowych, od zamierzonych czasów młodości do chwili obecnej, przy okazji o zaletach jej dzieci i trochę brzydkich rzeczy o reszcie młodzieży współczesnej i o stanowisku męża („bywamy u wojewody i wogóle żyjemy blisko wielkiego ołtarza“) i o tem, jak wiatr źle działa na cerę („na szczęście mnie to nie szkodzi, bo ja zawsze miałam taką dobrą cerę“), i o ekwipunku wycieczkowym.

— Proszę państwa, — zakrzyknęła nagle podniecona. — A może wziąć latarkę elektryczną? Pamiętam, w zeszłym roku, jak byliśmy z synem na Liljowem, to była taka mgła, że

nawet z latarką na dwa kroki nie było widać.

— Wobec tego poco latarka — rozsądnie zauważył młodociany Czarus.

— Ale może jednak wezmę! Zawsze się może przydać — upiera się pani „żyjąca blisko ołtarza“.

Milczymy przezornie, wiedząc, że każde nieopatrzne słowo podważa siłę wymowy. Nasza przezorność nie pomaga. Za chwilę się rozlega:

— Jak państwo myślą, może jednak pójdę po tę latarkę? — Zdesperowani, zrywamy się od stołu i wychodzimy z jadalni. Słyszymy jeszcze zdaleka głos: ...ale krzeselko składane, które się mieści w torbie, to już biorę, dla siebie, tylko dla siebie...

Autą przed domem do wtóru terkocą.

Mają nas zawieść do wsi, o parę kilometrów odległej od Kosowa, gdzie rozpocznie się wejście pod górę. Trasa naszej wycieczki prowadzi przez pasmo górskie, zwane Sokólskie, zejść mamy do Kut i stamtąd do Kosowa znowu autami.

Pierwsze wejście jest męczące, prowadzi ostro pod górę i jest dosyć długie. Wydostawszy się na szczyt, najgorsze mamy za sobą. Teraz już cały czas droga prowadzi łagodnymi wzniesieniami pasma, wśród cudownych łąk. Niema w całej Polsce takich łąk, jak na Huculszczyźnie. Trawy soczyste, bujne, gęste, wysokie i nieprzebrana ilość najrozmaitszych, często dziwnych i nigdzie indziej niespotykanych kwiatów pachnących, kolorowych, prześlicznych. Takie łąki widzi się jedynie na reklamowych afiszach, rozwieszonych w ajencjach Cook'a: „Visitez la Suisse en été“.

Idziemy temi feerycznymi łąkami, w fali zapachów i ignorujemy



Łustą cerę
nielegnujcie
odtłuszczającym pudrem
higienicznym dra-Łustra
tudziez
proszkiem marmurowym
„MIRACULUM“

zupełnie nieśmiałe krople deszczu, spadające od czasu do czasu.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie „Wirówka“. To nasz przewodnik - amator, który w niczem się nie orientuje. Nie wie, gdzie jesteśmy, którądy iść, gdzie dojdziemy. Nie wie nic. W jednym z krytycznych momentów, gdy niewiadomo było, w którą stronę się udać, wysforowaliśmy się w parę osób naprzód, aby „zbadac teren“. Pierwszy szedł dyrektor P., Mefisto, we wspaniałej, olbrzymiej czarnej pelerynie, na własną rękę szukając drogi. Był od nas oddalony o kilkadziesiąt kroków, gdy nagle z dalszej grupy przybiegł nasz nieszczęsny przewodnik, który na gwałtowne pytania o drogę, rzucił nam z łagodną pewnością siebie:

— W tej chwili... Zaraz zapytamy tego starego — i wali wprost na... Mefista.

Wybuchamy niepowstrzymanym i bezlitosnym śmiechem. Orientacja „Wirówki“ staje się wartością ustaloną.

Czterogodzinny marsz uprawnia do posiłku. Wybraliśmy na miejsce postoju piękny szczyt, ale jednemu z współtowarzyszy, mojemu „sasiadowi“ spodobał się następny. Gdyśmy do niego doszli, „sasiad“, indywidualista orzekł, że jeszcze następny jest piękniejszy i wobec naszego zdecydowanego oporu, sam się udał w dalszą drogę. Po krótkiej samotnej sieście, zatęsknił do naszych prowiantów i zawrócił właśnie w chwili, gdy my w strachu przed nadciągającą czarną chmurą postanowiliśmy się schronić do stodoły, widocznej właśnie na owem, rzekomo „piękniejszym“ wzgórzu. Stodoła była nowa i okazała się wspaniałym locum. Wewnątrz znalazły się pachnące deski i góra miękkich i ciepłych wiórów.

Zamknięte koło

Życie tworzące się wciąż od nowa, pełne nieuchwytnych zmian i nagromadzających się w codziennym soku przeobrażeń, zoddali dopiero ukazuje swój kontur. Dni mogą się wydawać spokojną ciągłością, lecz w perspektywie czasu widać istotną linię ich przebiegu, linię niespokojną, przerywaną eksplozjami, podminowaną trudem ciągłego dążenia.

Ale jeżeli wzrok zdoła ogarnąć jeszcze większy odcinek historii, dozna się starego zdziwienia na widok powrotu rzeczy, jakgdyby immanentne prawa grawitacji utrzymywały bieg zjawisk, niczem bieg planet, zawsze po torze zamkniętym. Dzisiaj często zauważyć się daje zarzucanie sieci w nurt wczorajszej, ale tak nieodwołalnie, napozór, minionej przeszłości.

Ludzie upojeni są wielkością swych osiągnięć, triumfem nowoczesności, które to pojęcie ma wyrazić ostatnie słowo zwycięstwa nad materją, nad przeszłością. Tymczasem ta przeszłość żyje bezustannie i poza barwnym, poza hucznym korowodem wydarzeń i sukcesów, przenika w postaci tych samych tęsknot, tych samych poszukiwań. Dosyć nakłonić ucho, aby usłyszeć, że pewne leitmotywy powtarzają się stale i, niby w odwiecznym tancu, zmieniają się tancerze, lecz figury pozostają te same i jednakowe odzwierciedlają stany uczuć.

Holenderska autorka Jo van Ammers Küller dała w swojej wysoce interesującej, głęboko pomyślanej powieści „Kobiety z rodu Coornveltów” przecięcie przestrzeni lat osiemdziesiąciu, od roku 1840 do 1924, poprzez obrazy trzech pokoleń, tak różnych na pierwszy rzut oka, jak niebo i ziemia.

Myśl tej książki rozwija się na dwóch planach. Jednym jest nieunikniony, pradawny konflikt rodziców i dzieci, starego i młodego pokolenia; drugim dzieje wyzwolenia kobiety, dzieje tego już dzisiaj zapomnianego wielkiego ruchu, pełnego dramatów i wstrząsów, który otworzył kobiecie więzienie domu, ukazał szerokość świata. Zgodnie z artystycznymi wymaganiami nie patrzemy w książce pani Ammers Küller na ruch ten, jako na historycznie zakończone epizody, lecz uczestniczymy w nim od wewnątrz, oglądamy jego niepozorny początek i rozwój w wydarzeniach arcypospolitej codzienności, zderzając się osobiście z nieubłaganymi dekretami rodzicielskiego despotyzmu, z terrorem ojcowskiej władzy, która nie zna współczucia, ani tolerancji. Za-

czyna się to obrazem dosyć posępnej groteski w łonie zamożnej holenderskiej rodziny, właścicieli tkalni w mieście Lejda roku Pańskiego 1840. Na czele stoi ojciec rodu, Lodowijk Coornvelt, postać surowa i twarda, nieugięty rozkazodawca w ramach swego domu, gdzie w miłości i posłuszeństwie żyją i pracują jego żona, oraz ośmioro dzieci.

Duch buntu zjawia się w postaci młodej kuzynki z Paryża, sieroty, która po śmierci matki zmuszona jest szukać opieki u swoich lejdejskich krewnych. Młodą dziewczynę, umiejącą pracować na siebie, przywykłą do swobodnego, otwartego życia francuskiej stolicy, straszliwie uderza klasztorny rygor domu Coornveltów, wsteczniectwo, surowe wychowanie dziewcząt, oparte na pracy jedynie w obrębie rodzinnego domu i na bezwzględnej uległości woli ojca, kamienna atmosfera mieszczańsko - protestanckiego środowiska.

Podporządkowawszy się jej zrazu, Elżbieta Sylvain czyni w niej jednak małe wyłomy, wnosi do zimnego domu powiew życia, wolności, uczucia, pociąga za sobą serca kuzynek, biednych, młodych stworzeń, zgniecionych kleszczami nieubłaganych tradycji.

W niemiejszym stopniu pociąga też za sobą zapalę miłosne młodych chłopców Coornveltów, a jednemu z nich, studentowi Dawidowi, odpłaca gorącym uczuciem. Lecz tutaj w gniewnym majestacie ingeruje między zakochanych stary Coornvelt i miłość Dawida ugina się posłusznie przed wolą ojca.

Zraniona boleśnie w ambicji i w dziewczęcym uczuciu, przejrząwszy nawskroś okrucieństwo panujące w tym domu poza osłoną cnót, Elżbieta Sylvain ucieka od Coornveltów, śmiało i samotnie ucieka w świat. Ale tych parę lat, spędzonych w domu na Rappenbargu, decyduje o jej losie. To, co tam widziała, popycha ją na drogę bezwzględnej, zjadłej walki z niewolnictwem kobiety przy boku rodziców, a potem męża, z jej ciemnotą, upośledzeniem, biernością w najbliższych zagadnieniach.

I oto w drugiej książce występują po upływie lat trzydziestu te same córki i ci sami synowie srogiego Lodowijka Coornvelta, ale już jako ludzie dojrzały, rodzice dorastających dzieci. Na zmienionym tle obyczajowym lat siedemdziesiątych wyrastają identyczne w swej treści konflikty. Dzieci nie chcą i nie mogą pozostać na duchowym poziomie swoich rodziców, nowe przy-

świecają im ideały, ręce rwą się do przebudowy życia na własną modłę, na miejsce ślepego posłuszeństwa wyrasta miłość, jako tragiczne podłoże rozdźwięku, miłość, która w dobrowolnej ofierze osiąga najwyższy swój szczyt.

Dochodzi do zenitu świadomości krzywdy kobiety, krzywdy robotnika, epoka, która urodziła Marxa, Bebla, Engelsa, rzuca wgląd staroświeckiej Lejdy nikły odbłask rewolucyjnej zorzy.

Hein, nieślubny, adoptowany syn obecnego właściciela tkalni, Abrahama Coornvelta i dziewczyny służebnej, walczy o pracę małoletnich i ulgi dla chorych pracowników w warsztatach ojca. Kuzynki Berkhaut wbrew przestarzałym pojęciom, zakładają magazyn mód, gdzie same będą pracować, nie licząc na łaskę bogatych krewnych. Liza Wijsman rzuca dom rodzicielski, wyrzeka się chłopca, który ją kocha i, obarczona zabójczo w oczach opinii śmiesznym przewizwiskiem „sawantki”, „emancypantki”, wyrzucona ze swego stanowiska społecznego wstępuje na medycynę. Ale mała, delikatna Klara Coornvelt, którą powołanie ciągnie do pracy społecznej, nie czuje się na siłach, aby opuścić i na żer samotności wydać ukochanego ojca. Potrzeba ofiary zwycięża w jej sercu, każąc wbrew pragnieniom pozostać na stanowisku wiernej, posłusznej córki. Pod burzą zmieniającego się gwałtownie świata mały strumyczek jej miłości przemyka się ku przyszłemu dniu.

Ogniwiem, łączącym minioną i nastającą epokę jest owa niegdyś młoda, pełna siły i hartu kuzynka z Paryża, Elżbieta Sylvain, która wniosła zarazek nowych czasów w patryjarchalny dom Coornveltów. Obecnie jestto już stara panna, niezmordowana i zasłużona pionierka sprawy kobiecej; jeździ, propaguje, wygłasza odczyty, budzi śpiące siostry, podnieca niespokojny żar młodych dziewcząt, wciąga je w walkę, zasila swym majątkiem, znieważana przez męską młodzież i starsze pokolenie Lejdy. Uwieńczeniem jej życia jest rewolta w tej samej rodzinie Coornveltów, którą musiała przed laty pokryjomu opuścić. Jej energja, pełna gorącej apostołskiej wiary wciela się teraz w postać młodziutkiej siostrzenicy Lizy Wijsman, która dalej poniesie w życie zapalone wici buntu i szukania nowych dróg.

I mija znowu lat pięćdziesiąt. Czytelnik stoi w roku 1924. Jedyłą osobą, jaka pozostała z dawnych

lat, z tłumu konwencjonalnych karierowiczów i płytkich dam i młodzieży, rwącej się ku nowym, zakazanym ideom, jest ta sama Liza Wijsman, słynna lekarka i działaczka, stara, siedemdziesięciokilkoletnia kobieta. Nie mogła pogodzić małżeństwa i miłości ze swoją misją, wciąż były to rzeczy wzajemnie się wykluczające, odrzuciła tedy miłość odważnie, wybrała trudną, samotną drogę, pełną szyderstw, wyrzutów i przeciwności. Zwolna następował przełom. Pośród drwin i nacisku wstecznicstwa torowały się nowe drogi kobiety, do niedawna nazywane manowcami, upadkiem, szaleństwem.

Wystrzegając się najniewinniejszych słabostek, stroju, wdzięku, podobania się, ubrana w czarną suknię, „podobną do rury kominowej“ i wysoki kołnierzyk, Liza Wijsman spędziła swe pracowite życie, jak kapłanka. Ale kapłaństwo to nie wysuszyło w niej gorącej miłości ludzi i życia, jej fanatyzm był raczej płomienną wiarą w siłę idei i siłę walczącej młodości. Emerytowana lekarka wraca do starej siedziby Coornveltów, w rodzinny krąg swej siostrzenicy Doroty, nie, aby w spokoju spędzić schyłek swoich dni, lecz, aby czujnie wsluchana w rytm rozbieżnych losów najmłodszego pokolenia, wpatrzona w zawiłe diagramy jego charakterów z pogotowiem jak najdalej idącego zrozumienia, nieść im wszystkim radę, sympatię, poparcie.

Ta jej neutrudzona czujność dla dążeń młodości, jej mocna wiara, że walka, którą ona, Liza Wijsman i jej poprzedniczki prowadziły od lat kilkudziesięciu o prawo kobiety do człowieczeństwa i do szczęścia, w obecnym pokoleniu zakończyła się pełnym zwycięstwem, doznaje jednak ciosu. Życie nie zmieniło się w triumfalny pochód wolności i radości, lecz „w błazeński pochód z dzwonekami“.

Mniejsza o rażące sędziwą kobietę nowe obyczaje młodzieży. Jej wzrok sięga głębiej i poza świetnością uzdolnień, karier, zarobków, sławy najmłodszej generacji Coornveltów, poza łatwością i powabem ich życia, dostrzega znowu ten sam smutek, niepokój, jakie dręczyły młodość za jej czasów i te same skargi na brak zrozumienia ze strony ojców, ten sam nieuleczalny rozłam między dawnymi, a młodemi laty, ocknienia srogiej władzy ojcowskiej i zacięty spór o idee swego czasu, czy to będą komunistyczne reformy Lorda Coornvelta, czy marzenia Kitty o karierze tancerki, czy pesymistyczny intelektualizm sawantki Puck,

Nawet ukochana siostrzenica Do-

JEDWABISTĄ, MATOWĄ CERĘ



zachowa Pani, stosując płyn SIMI, który nadaje cerze świeżość i urok młodości, usuwa wągry, przyszcze i zmarszczki oraz odtłuszcza skórę.



rota, kobieta, która pozornie rozwiązała najtrudniejsze problemy życiowe, godząc wszystkie sprzeczności siłą swojej bogatej natury, godząc miłość, małżeństwo, rodzinę z działalnością społeczną na szeroką skalę, staje teraz przed nią, jak symbol kruchości szczęścia i wszelkiego rachunku. Tak, wiele osiągnęła, lecz teraz, kiedy razem z uchodzącą młodością traci miłość męża, kiedy ani jej wciąż niewygasłe uczucie, ani wieloletnie, wzorowe pożycie, ani zasługi i stanowisko posłanki nie mogą rywalizować z urokiem młodej, dwudziestoletniej dziewczyny, która bez skrupułów zabrała serce jej męża, teraz życie traci dla Doroty wszelki sens.

Powstaje zamieć wątpliwości, czy istotnie żyła dobrze? Czy w kwestjach, jakie postawiło przed nią życie, nie skrzywiła najważniejszych rzeczy, związanych z jej sercem kobiety, na korzyść spraw wielkich, ale dalszych; czy nie jest jej własną winą odejście męża i obcość własnych dzieci?

Wydaje się, że ten krótki czas, jaki Eliza Wijsman spędza w domu swej rodziny, staje się jednym z najcięższych chwil w ciągu jej długiego żywota.

Trzeszczą wiązadła, jakimi tak długo przytrzymała wysoką wieżę swoich idei, rozpadają się umiłowane dogmaty. Bohaterska walka jej pokolenia nie doprowadziła do niczego, tylko do zwątpienia i oglądania się w zaledwie co przezwyłączoną przeszłość: „wyglądało niemal na to, jakgdyby część przynajmniej młodego pokolenia, zgodnie z prawami reakcji, dopatrywać się chciała nagle zbawienia dla siebie w obyczajach i urządzeniach dawnych, dobrych czasów“.

Rachunek zdradził luki i błędy. Wielki ruch kobiety w połowie dziewiętnastego wieku nie okazał się linią prostą, swobodnie kroczącą w nieskończoność rozwoju i w pełni szczęścia, ale linią, która zamknęła

się w smutne błędne koło daremnych prób, w koło powrotu do dawnych, wyklętych punktów. „Wszystkie nasze wysiłki nie doprowadziły do wyhodowania szlachetniejszego i wyższego typu kobiety i nowa, proklamowana przez nas forma małżeństwa, zapewniająca obojgu małżonkom nieograniczoną wolność, nie jest wcale lepsza, aniżeli dawna“.

Powieść kończy się śmiercią Elizy Wijsman, która zasypia w swoim pokoju, patrząc z natężeniem w zalany księżycem ogród, jakgdyby z blasków jego i mroków jeszcze w tej ostatniej chwili wyczytać chciała odpowiedź dręczących ją zapytań. Odpowiedź istotnie tam była, bo w teże minucie najstarsza wnuczka w ramionach narzeczonego, który niespodzianie powrócił z Indyj; owa utalentowana, chłodna intelektualistka Puck, widzi niby w olśnieniu prostą i zapomnianą prawdę: „może to jest ostatecznie jedyna różnica pomiędzy kobietą dzisiejszą, a kobietą minionych czasów, może w tem właśnie kryje się przyczyna tylu błędnych posunięć i kroków, tylu tragicznych rozejść, że kobiety zatraciły wpajaną im niegdyś głęboką wiarę w siłę i nierozzerwalność tego, co stanowiło punkt ośrodkowy ich życia, że przestały wierzyć w boską potęgę miłości...“

Tem odkryciem Puck nie zdołała się już jednak podzielić z mądrą, zawsze poszukiwaniem młodą staruszką, i ta odeszła z zapytaniem na ustach.

Treść książki pani Ammers-Küller jest tak bogata, postacie tak liczne i żywe, epizodów w trzech tomach tak wiele, że omówienie ich nie daje prawie nic, a już najmniej tego wrażenia życia, toczącego się niepowstrzymanym pędem.

Obrazy stosunkowo niedawnej przeszłości, lata czterdzieste, lata Słowackiego, Mickiewicza, Balzaca, zdają się nas przenosić w nieprawdopodobne, surowe średniowiecze. Jakaś gruba zasłona kładzie się na oczy ludzkie i ludzkie zapominają, czem byli sami w dniach młodości, używają, gdy przyjdzie chwila zderzenia się z hardą wolą młodego pokolenia, tych samych słów, tych samych argumentów, pod ciężarem których sami się niegdyś uginali. Sroga niepamięć zdaje się leżyć u podstaw życia, zmuszając ludzi do ostrych prób i nierozwiązalnych konfliktów. Srogie prawo niezrozumienia, płacące ojcom i dzieciom tą samą monetą. Prawo, które jedna tylko miłość może omiąć.

Znajdujemy się w lesie sprzeczności, w splocie bolesnych, nieuniknionych zatargów: smutek i zła wo-

la, bunt i przemoc, okrucieństwo i daremność panują nad nami i ludzkie, stworzeni, aby wzajem sobie czynić dobrze, błędzą w zamkniętym kole.

A jednak — podaje autorka — istnieje wyjście, małe drzwiczki, które były niegdyś jedyną, pochłaniającą wszystko bramą. Istnieje lek, nadający wątłym ofiarom, milej Coornvelt, małej Klarze że-

lazną wytrzymałość i proste rozwiązanie zagadnień.

Autorka, ukazując te drzwiczki wśród całej komplikacji współczesnego życia, staroświeckie drzwiczki matek i babek, czyni to nader dyskretnie, wierząc, że w głębi najtajniejszej swoich serc nie jesteśmy tak bardzo inne, niż dawniej i że nie jest tak znowu beznadziejne owo zamknięte koło.

Ten wielki „roman à thèse“ w rękę każdej kobiety i każdego wieku, dostarczy szczerych wzruszeń i pola do rozmyślań nad ogromem życia, które zarówno obejmuje formy przeżyte, jak i huczną nowoczesność i nadchodzące wciąż zastępy młodych pokoleń, wojujących z konieczności wewnętrznej, wojujących, bo takie jest ich prawo.

Zofja Kunicka.

KĄCIK RADJOWY

„Nie szata zdoła człowieka, ale człowiek szatę“ — brzmi staropolskie przysłowie, któreby mogło przerażać niejedną kobietę, a doprowadzić do szału radości każdego prawie mężczyznę.

W powiedzeniu tem, które należało do złotych myśli naszych pradziadów, tkwi wiele przesady, ale jednakże i wiele racji. Bo naprawdę niewiele pomoże dobrze skrojona i szarmonizowana z urodą suknia, jeśli wyglądamy znużone, blade, apatyczne i zniechęcone. Źródło ratunku powszechnego w tej mierze — szminka pozornie tylko ożywi twarz, ale nie przyda oczom blasku, ani uśmiechowi wdzięku radosnego ożywienia.

Zmęczone brzozy koło oczu i ust rysować się będą pod pudrem zupełnie widocznie.

Nasz dobry wygląd zależy w dużej mierze tylko od nas samych. Zależy od ustosunkowania się do zjawisk życiowych, od energii, którą musimy uczyć się gromadzić w sobie, od umiejętnego hodowania pogody wewnętrznej, mimo „wszystko“ — coby nam ją zmącić mogło. Jednak słowem od opanowania a nawet od umiejętnego „wstawania z łóżka“.

To nie jest takie śmieszne i takie proste.

Budzimy się często, nawet bardzo często w tak zwanym „złym humorze“, czy jak kto woli „wstałyśmy lewą nogą“. Bardzo zły omen.

Zaczyna się tak niewinnie od tego, że kawa jest za zimna, pantofle źle oczyszczone, zegar się spóźnia, książka z czytelni przygotowana do zabrania gdzieś się zapodziała, guzik się oberwał od rękawiczki i nie można go znaleźć itd. itd. Potem już chmury same się gromadzą i cały dzień jest na nic. Zły humor przesładuje nas aż do wieczora. A zaczęło się to przecież od rana, które było takie, jak każde inne, tylko... tylko...?

Tego dnia odnotować można skrętnie dwie drobne małe zmarszczki, które się uprzedły koło ust na skutek grymasu zniechęcenia.

A więc, proszę pani, od rana zależy nasz cały dzień, a od dobrego dnia nasz dobry wygląd. Proszę wziąć to pod uwagę, bo nie wierzę, że jest kobieta, której na tem nie zależy.

Doskonałym pedagogiem w tej materji jest radio, które coraz więcej wychowuje sobie umiejętnych słuchaczy, wykorzystujących do ostatka rady swego przyjaciela.

Od samego rana wraz z krzykiem syren fabrycznych i samochodowych, zgrzytami tramwajów, wyjeżdżających z remizy, okrzykami roznosicieli gazet, kiedy dzień na ulicy krzyknie swoje: „tempo!“ głośnik radiowy budzi swych przyjaciół już przed 7-mą pieśnią, zanim zerwie z łóżka, tempem porannej gimnastyki. Energiczny głos radiowego profesora wyrwa najbardziej amatersko usposobionych śpiochów z łóżka, sugerując dźwięcząca w nim żywotnością.

— Rozpoczynamy marszem dookoła pokoju! Śpiewamy wszyscy! Raźniej, prędzej!

Wypoczęte mięśnie ochotnie zabierają się do pra-

cy, roztwierając jeszcze zaspane oczy, uśmiechamy się do siebie albo z siebie, jeżeli nie możemy podołać trudniejszym ćwiczeniom. Wszystko jedno! Fakt jest faktem, że się uśmiechamy od samego rana, a przecież na tym uśmiechu budujemy cały dzień. Dom jest pełen muzyki i śpiewu, ćwiczenia gimnastyczne wymagają uwagi i szybkiej orientacji, niema czasu na to, żeby znaleźć „w całym dziurę“.

I zdawałoby się, że to tak niewiele. Kilkanaście ruchów gimnastycznych, trochę melodji i śpiewu.

Dzięki temu wychodzimy z domu jakieś pewne siebie, zegarek doskonale naregulowany, niema mowy o spóźnieniu do pracy. Wzięliśmy doskonałe tempo: „biegiem marsz!“.

Na rogu ulicy sprzedają kwiaty, jakie tanie! 10 groszy pęczek białych aster. Na ustach jeszcze się błąka ostatnia melodja z głośnika. Twarz mamy wypogodzoną i ożywioną.

Jaki dzień jest piękny!



Kaplica Matki Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie, skąd nadawane są Nabożeństwa w pierwszą sobotę miesiąca o godz. 17. Najbliższa transmisja odbędzie się dnia 6.X.

Wychowanie i szkoła



Dzieci paryskie korzystają z pięknej wrześniowej pogody w basenach Tuilerji.

Wychowanie młodzieży na tle przeobrażeń społecznych

Wszelkie spostrzeżenia na temat niezwykłości przeżywanej przez nas epoki stały się tak już oklepane, że wprost puszczały je mimo uszu. Przestały one docierać do najgłębszej świadomości ludzi, którzy o tej niezwykłości robią automatyczne uwagi, ale życie codzienne mierzą miarą zwykłą, żyjąc, ot — aby przeżyć.

Kryzys ekonomiczny, kryzys ustrojowy, kryzys moralności, kryzys zaufania, to wszystko komunały, które puszczały mimo uszu. Niektórzy mówią, że jest już... po kryzysie. W każdym bądź razie, choćby nawet minęło *największe nasilenie* nieszczęść ekonomicznych, nędza i niedostatek, walka o byt trwać będzie długie lata.

Ale nie to jest najważniejsze. Żyjemy nietylko w niedostatkach materialnych. Żyjemy w chaosie, który ogarnął wszystkie dziedziny życia społecznego narodów. W polityce odczuwa się wyraźny zamęt i szukanie nowych form ustrojowych, któreby mogły w pierwszym

rzędzie dać solidne ramy życiu gospodarczemu państw.

Zagadnienia ekonomiczne, kwestja nadprodukcji (fikcyjnej) i „potrzeby“ niszczenia różnych artykułów przemysłowych, hodowlanych czy rolnych, przy jednoczesnym głodzie i bezrobociu, kwestja samego bezrobocia, zmniejszonej konsumpcji i t. p. zagadnienia wydają się w ramach obecnej polityki międzynarodowej wprost nierozważalne.

Ale że historia ma swoją logikę, a instynkt zachowawczy też swoje robi, nie można wątpić, iż chaos obecny minie i że coś się z niego wyłoni.

Co? To trudno przewidzieć.

Jedno jest pewne: to co było, jak to lubimy określać: „przed wojną“ nie wróci. I dlatego nie jest rzeczą wskazaną do *niezwykłości* czasów obecnych i przyszłych przykładać miarę wczorajszą. A jest to wprost groźne w dziedzinie zagadnień wychowawczych.

Współczesna pedagogja daleka

jest od twierdzenia, że dusza dziecka jest „białą kartą“, co zapewniłoby wychowawcy *nieograniczony wpływ* i żądałoby *pełnej odpowiedzialności* za skutki prac wychowawczych.

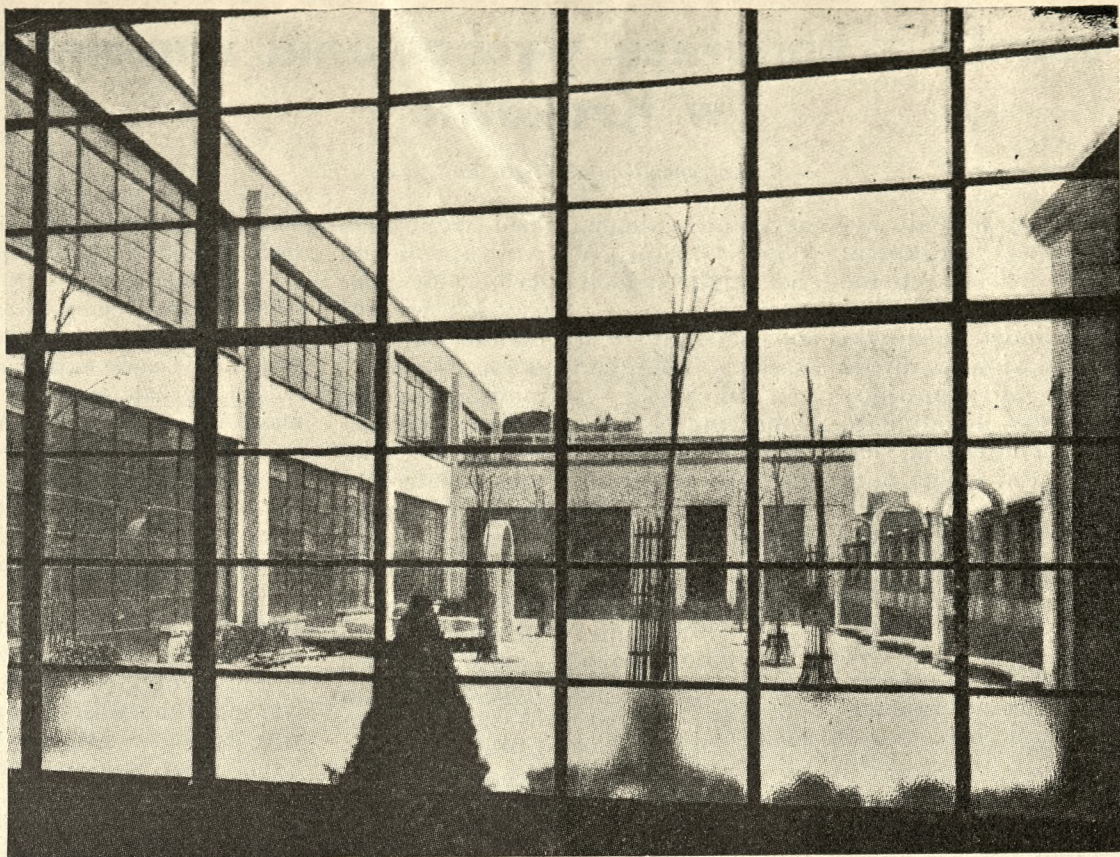
Jednakowoż kierunek wychowawczy w znaczeniu profilaktycznym, gdy chodzi o zapobieganie wypaczeniu charakterów, lub w znaczeniu przysposobienia do życia, *ma zawsze dominujący wpływ* na dusze młodego pokolenia.

Szkoła i dom. Z jednej strony nauczyciel, z drugiej rodzice. Są to *świadome swego celu* jednostki wychowujące. Poza to, dokszałca młodzież ulica, teatr, kino, goście w domu, pisma, słowem — świat.

Ale świat nie jest *świadomym* swego celu wychowawcą. Świat uczy, nie dążąc do tego. Jest to teren obiektywnych zdarzeń i subiektywnych odczuwań młodzieży.

A więc szkoła i dom, jako *świadomi* wychowawcy.

Zagadnienia wychowawcze szkoły zryczałtowane, ujęte w pewien



Nowoczesne podwórze szkolne we Francji.

Popularna pani Irena Harand, wiedenka, podtrzymała raz jeszcze swoje hasło: „Nie siać nienawiści, nie organizować nienawiści!” Nienawiść szkodliwa jest najdotkliwiej dla tego, kto ją sieje.

Prócz rozważania na plenum zasadniczych tez kongresu, obradowano w 4-ch komisjach. Komisje zwały się: *praca i moralność*. Komisja druga zajmowała się zagadnieniem *koedukacji* (i do żadnego wniosku nie doszła, chociaż dyskusja była żywa i obfita, a tłok na sali ogromny). W komisji trzeciej mówiono o *literaturze dla dzieci*. Komisja czwarta, niezmiernie ciekawa, omawiała możliwość porozumienia się *narodów przez młodzież*.

Kiedy na 4-ty dzień obrad zebrało się na sesję końcową, wysłuchawszy kilkudziesięciu prelekcji, czuło się w ogólnym nastroju to samo pytanie: „I cóż z tego? Czy ujawniliśmy jedność? Nie. Czy chociaż pogodziliśmy sprzeczności? Także nie. Więc cóż uczyniliśmy? Dlaczego jednakże czujemy się tak dobrze? Widocznie kongres coś nam dał dobrego. Cóż mianowicie?”

Stworzył możliwość swobodnego wypowiedzenia się ludziom, reprezentującym odmienne kierunki. Dał im gwarancję, że wysłuchani będą poważnie i z pełną dobrą wolą zrozumienia. To właśnie stanowiło cenną atmosferę kongresu i to dało uczestnikom smak zadowolenia.

Kończącym akordem kongresu było przemówienie prof. Bouglé, wybitnego przedstawiciela francuskiej świeckiej myśli humanitarnej. „W Genewie — mówił — przedstawiciele rządów świata ściskają sobie ręce, ale szczerzą zęby. Tutaj żyliśmy w atmosferze dobrej woli i braterstwa. Ale kongres nasz jest słaby. Jest jak *czarodziej, który dźwiękiem fletu próbuje zakłąć niebezpieczeństwo. Ale może kiedyś przyjdzie czas, że flet zagłuszy trąbę wojenno, albowiem masy chcą tego samego, co my: chcą pokoju. OTO JEDYNOŚĆ WNIOSKÓW PRAKTYCZNYCH. POMIMO RÓŻNORODNOŚCI ŚWIATOPOGLADÓW*”.

Stanisława Kuszelewska-Rayska.
i A. Oderfeldówna.

Nauczycielka szkoły ludowej

(Reportaż).

Wrześnie słońce chyli się ku zachodowi. Na ogołocone z kłosów pola, na kwitnący żółtym kwieciem lubin, kładą się ostatnio blaski słoneczne. Usiadłyśmy na stopniach werandy, wsłuchane w wesołe odgłosy wsi, odpoczywającej po dniu pełnym znoonej pracy.

— Postanawiając zostać nauczycielką ludową, nie miałam wyobrażenia o istotnym zadaniu krzewicielki oświaty na wsi — mówi przeżyła p. Zofja R., nauczycielka w

rozległej wsi w okolicach Bugu. — Przyjechałam tutaj 5 lat temu, pełna zapału i wierząc w ideały. Ale na wstępie doznałam rozczarowania...

Urywa, ale po chwili ciągnie dalej.

— Kierownik i jego żona byli nieobecni. Zwróciłam się więc do sołtysa z prośbą o udzielenie mi noclegu...

— Zgodził się? — pytam, gdy nagle zamilkła.

— Owszem. Oddał mi izbę, rozmawiał ze mną długo, był bardzo grzeczny, uprzejmy, gościnnie... Lecz po 2 dniach musiałam się wyprowadzić...

— Uważał, że młoda, samotna dziewczyna, paląca papierosy i używająca pomadki do warg, powinna być łatwą zdobyczą, chociaż wiedział, że przyjechałam w charakterze nauczycielki...

Milczymy obydwie. Panna Zofja zapaliła papierosa i zmusiła się do uśmiechu.

— Nie uskarżam się — rzuciła z mocą. — Kocham mój zawód. Dzieci, jak dzieci, są wszędzie jednakowe. Może na wsi mniej inteligentne i rozgarnięte niż w mieście, ale w gruncie rzeczy dobre i miłe.

Znowu urywa i nerwowym ruchem gasi papierosa.

— Pani chciałaby pewnie wiedzieć, jakie wyjście znajduję z trudnej sytuacji? — odpowiada na moje nieme pytanie. — W niektórych wypadkach udaje mi się przemóc opór rodziców. W wielu — wszelkie tłumaczenia pozostają bez skutku. A kuratorjum nie może się liczyć z intelektualnym poziomem rodziców dzieci. Składki muszą być płacone! To też niedobór idzie z mojej pensji!

160 zł. miesięcznie! Utrzymanie kosztuje 80 zł. A gdzie opał, światło, ubranie, gazety, książki i t. d.? A teraz przybył jeszcze jeden wydatek: miesięczne spłaty za rower.

— Rower? — dziwię się.

We wsi niema specjalnego budynku na szkołę i klasy są porzucane po licznych chatach. Czasami odległość między klasami wynosi do 3 kilometrów i trzeba ją przebyć w przeciągu 10 minut (czas pauzy). Więc rower oddaje niesłychane usługi. Następnie trudno przy zarobku, nieprzekraczającym

160 zł. miesięcznie, pozwolić sobie na luksus wyjazdu do pobliskiego miasteczka, płacić za konie, aby odwiedzić znajomych, mieszkających w pobliżu. Rower rozwiązuje wszystkie trudności.

— Czy pani jest bardzo zajęta — pytam.

Panna Zofja uśmiecha się.

— Oprócz lekcji w szkole i poprawiania kajetów, prowadzę obowiązkową pracę oświatową wśród dorosłych, uczę analfabetów czytać i pisać, redaguję listy i prośby. Założyłam wśród młodzieży związek harcerski i strzelecki, prowadzę świetlicę. A w wolnych chwilach od zajęć prowadzę nieustanną walkę z robactwem, od którego niestety, nie jest wolna żadna chata!

Z dużym poczuciem humoru, na dnie którego czai się smutek, panna Zofja opowiada o swojej gospodyni.

— Była oburzona, że otwieram codziennie okna, nie bacząc na porę roku. Ręce załamała widząc, że myję podłogę. Powiedziała, że wszystkie deski zgniją „od tej wody, a przez otwarte okna wejdzie choroba!“

Wieś interesuje się bardzo prywatnym życiem nauczycielki. Każdy jej ruch i słowo jest poddawane surowej krytyce.

— Wytlumaczyłam mojej gospodyni, że palenie papierosów uśmierza ból zębów i dlatego jedynie palę.

— A pomadka? — pytam żartobliwie.

Macha ręką.

— Pomadka i puder są nie do pomyślenia w moich warunkach! Nie mogę sobie również pozwolić na plażowanie w lecie, na słońcu.

— Kuratorjum powinno wysyłać na wieś tylko starsze nauczycielki — zauważam.

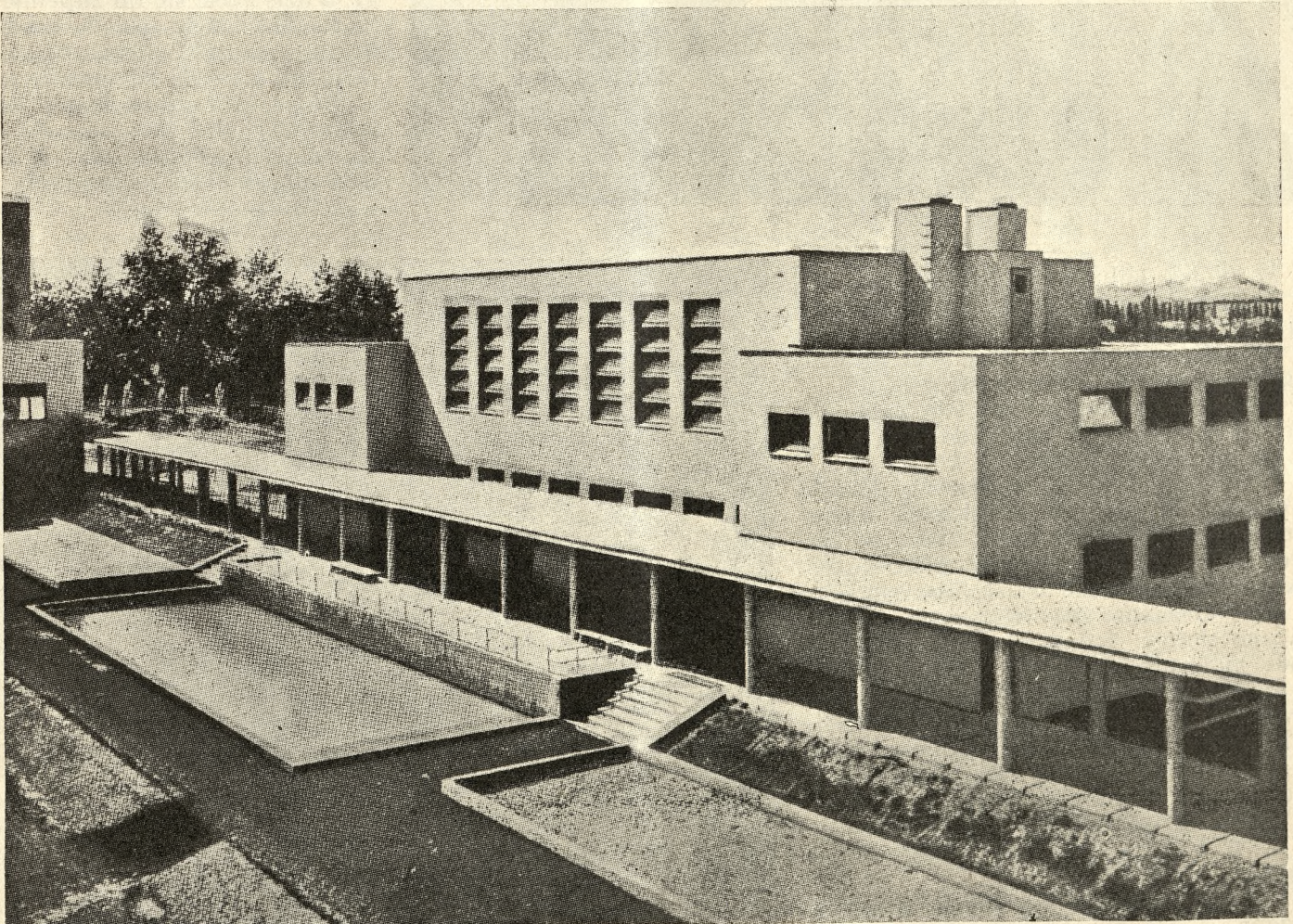
— Pani jest w błędzie.

Tylko młoda potrafi dać sobie radę z mieszkańcami wsi. Obudzić w nich wyższe aspiracje, wytłumaczyć znaczenie higieny, wpływać dodatnio na dzieci, może tylko młodsza i ujmująca siła — dodaje ciszej.

Patrzę na śliczne rysy twarzy panny Zofji, na jej pełne energii oczy, na prawidłowo wykrojone usta, w których kryje się zapal młodości.

— Co pani robi w długie zimowe wieczory? — pytam.

— Radjo, towarzystwo kierownika i jego żony, książka, gazeta lub praca oświatowa — rzuca urywanie. — I stale natężona uwaga, że ktoś może zapukać do moich drzwi. Jeżeli znajdzie je zamknięte na



Nowoczesny gmach szkolny w Jugosławii.

klucz, zaczęły się obmowy, że „pani nauczycielka Bóg wie, co robi...” O ile zastanie mnie leżącą, rozejdzie się po wsi, że „pani nauczycielka próżnuje...”. O towarzystwo trudno. Nie każda z nas posiada rower, a i rower nie rozwiązuje wszystkich problemów... Pozostaje przymusowa samotność w długie zimowe wieczory, jeszcze gorsza we wsiach, w których ciało nauczyciel-

skie składa się tylko z jednej osoby, a kilkanaście kilometrów dzieli ją od najbliższego miasteczka...

Słońce już dawno zniknęło w szkarłatnej smudze, która lekkimi obłokami pokryła jasny horyzont. Odgłosy wsi stawały się coraz dalsze i cichsze.

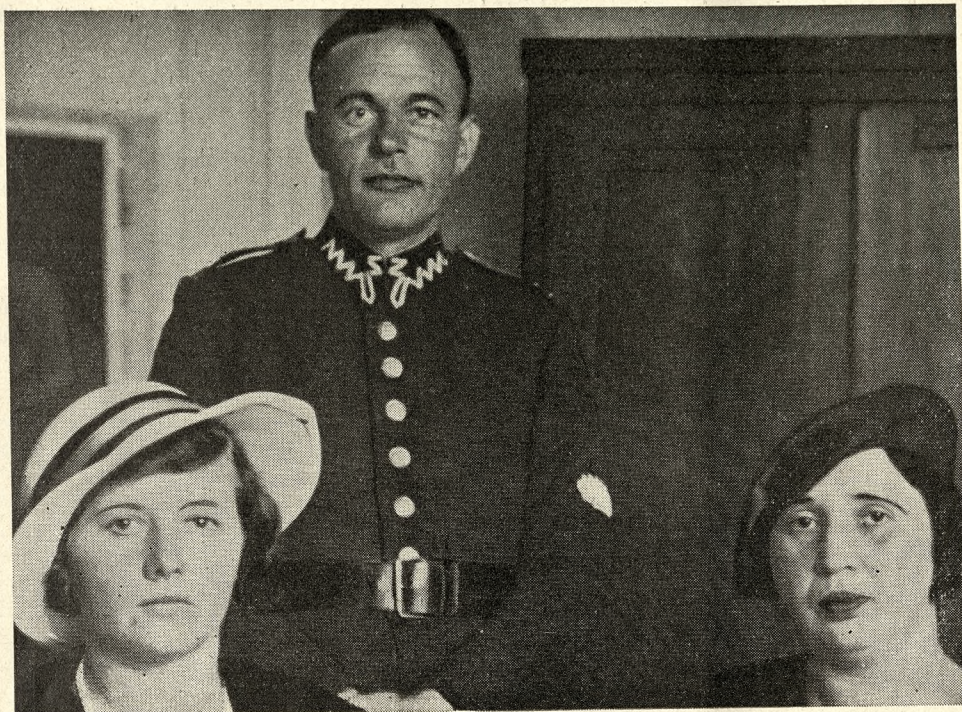
— Niektóre moje koleżanki nie wytrzymują samotności i wychodzą za mąż za włościan — odzywa

się nagle panna Zofja. — Są to małżeństwa przeważnie nieszczęśliwe. Mąż nie rozumie żony, żona nie potrafi wczuć się w psychikę męża. Wzajemne dobre chęci rozbijają się o mur, dzielący inteligentną mieszkankę miasta i mało wykształconego wieśniaka...

— Nie boję się samotności — pada rzeczowa odpowiedź. — Kocham mój zawód i nie poddam się!

St. Osińska.

Podział darów Fortuny



Drugą ćwiartkę posiada p. Milnerowa, żona handlowca z Warszawy. Ogromnie się ucieszyła, że „ten interes” tak dobrze jej się udał. Oboje teraz z mężem myślą o założeniu własnego sklepu z bielizną, gdyż p. M. jest specjalistą w tej branży.

Resztą wygranej podzielili się portjer i kilku robotników z warszawskiej fabryki „Pocisk”, pp. Wołowski, Cybart i Barszczak. Nie wiedzieli nic o wygranej i nawet nie liczyli na nią. Portjer, p. Popławski, posiadał całą jedną ćwiartkę i ćwierć drugiej. Dostał więc pełne 250.000 zł. Pozostali trzymali resztę losu do spółki, gdyż nie stać ich było na samodzielną ćwiartkę, a dziś życie się im zupełnie zmieniło, bo każdy z nich posiada po 50.000 zł. Wszyscy szczęśliwi gracze są uwidocznieni na naszych fotografjach.

Wogóle w otatniej klasie Warszawa miała specjalne szczęście do wielkich wygranych, podczas gdy w poprzednich ciągnięciach wygrywała przede wszystkim prowincja.

W piątek odbyło się ostatnie ciągnięcie czwartej klasy 30-ej Loterii Państwowej. W dniu tym, jak wiadomo, na pierwszy wyciągnięty numer przypada główna wygrana w kwocie miliona złotych.

Olbrzymie tłumy zaległy salę ciągnięć. Wśród głębokiej ciszy padły słowa: Numer 132.138 — milion złotych.

Nie było na sali szczęśliwych graczy. Przypadek zrzucił, że nie słyszeli nawet radosnej nowiny przez radio. Wszyscy bowiem byli już przy pracy i dopiero kolektorka zawiadomiła ich o tem. Los uśmiechnął się Warszawie, gdyż wszyscy są mieszkańcami stolicy. Jedną ćwiartkę posiadało młode małżeństwo: sierżant 30-go pułku piechoty, p. Wojnarowicz z żoną. Wiadomość o wygranej przyjęli spokojnie. Właśnie mieli wielki kłopot z mieszkaniem, które musieli zmieniać i tego rana żona robiła o to gorzkie wymówki mężowi. Obecnie już łatwo im marzyć o własnej willi.

— A wojska pan nie rzuci? — pytamy.

— On? — przerywa młoda, przystojna żona. — On bez wojska żyć nie może. Urodzony żołnierz.



Z książek

„Książka o Polsce, dla młodzieży polskiej zagranicą”. Wydana nakładem funduszu szkolnictwa polskiego zagranicą. Warszawa, Mazowiecka 1. 1934 r.

Jeszcze jedno echo II Zjazdu Polaków z Zagranicy. Typowe wypisy, w których obok fragmentów z arcydzieł literatury polskiej, mamy artykuły pisane na zamówienie, z myślą o młodocianym czytelniku, czasem aż do zbyt ku naładowane balastem dydaktycznym, niedostatecznie przetrawionym, nie zespolonym z ad hoc wymyśloną fabułą w jeden organizm twórczy

Układ staranny i rzeczowy. Treść rozbita na 4 działy: I „Z dawnych czasów”, II „W walce”, III „Świt”, IV „W słońcu wolności”. Jako idea przewodnia budzenie samopoczucia, dumy i godności narodowej. A zatem wszystko co się może do tego przyczynić: w przeszłości mocarstwowej Chrobry, Kopernik, Sobieski, Konarski, męczennicy opactwa Sandomierskiego, potem bojownicy o wolność od Kościuszki do subiekta Prusa i uczeniaka z „Syzyfowych prac” Żeromskiego, wreszcie współczesność zwycięska i budująca.

Książka bogato ilustrowana, uzupełniona jest „Krótką statystyką Polski”, z wymownymi wykresami i słowniczkiem trudniejszych wyrazów.

„Polska i Świat współczesny”, Biblioteka Młodzieży. Gebethner i Wolff.

Z rekordową szybkością rozrosła się ta doskonała kolekcja książeczek dla młodzieży. Niedawno otrzymałam pierwsze tomiki, a obecnie liczba ich zbliża się już do trzydziestu.

„Walki o niepodległość”, „Bohaterzy”, „Po ziemiach polskich”, „Budujemy państwo”, „Ujarmiamy żywioły”, „Zdobywcy świata”, „W jednym szeregu” i t. d., oto nazwy cyklów, które przejrzyście odmierzą teren i zakreślają ramy ideologiczne wydawnictwa.

Celem wypełnienia tych ram zmobilizowano najlepsze pióra i najwybitniejszych speców, których nazwiska gwarantują nam pełną odpowiedzialność za słowo, mające być pokarmem młodzieży.

Bo skoro gen. Sławoj-Składkowski pisze „Gdzie widziałem Komendanta nim Polskę wywalczył”, Waclaw Lipiński opowiada o „Wojnie Polskiej roku 1918 — 1920, Gustaw Morcinek „W zadymionem słońcu” maluje życie ślązaków, Herminja Naglerowa w „Ludziach prawdziwych” opowiada, jak w wyobraźni dziecinnej odbijają się postacie bohaterki jutra, Ewa Szelberg-Zarembina w „Domu wielkim jak świat” sugeruje heroizm pracy dla gromady, Helena Boguszewska w „Czerwonych węzłach”, i „Dzieciach znikąd” sięga do najgłębszych uczuć człowieka dla człowieka, Zygmunt Nowakowski w „Pucharze Krakowa” z humorem i sentymentem kreśli przygody młodego rekordzisty — to można być pewnym, że robią to zarówno z umiłowaniem przedmiotu jak i ze znajomością rzemiosła pisarskiego.

A to jest rzecz tak ważna właśnie, gdy się pisze dla młodzieży, która nie ma jeszcze wyrobionego sądu krytycznego, ale ma zato niezawodny intuicyjny stosunek do książki, który każe jej odwrócić się od grafomanji, a przyłgnąć całym sercem do dzieła rzetelnego artysty.

Te małe, zgrabne książeczki o ciepłej barwie kości słoniowej zamykają w sobie niebylejaki zapas ciepła wewnętrznego. Prawdziwa studnia skondensowanego entuzjazu. Krzepiący rezerwat młodości. Czerpać z niego mogą dowoli i doośli, spragnieni czystych podniet.

S. P. O.

Z ubiegłego tygodnia

Rosja Sowiecka w Lidze! — Cyfry pro i contra. — Wzajemne korzyści. — Na pierwszej sesji Rady Ligi z udziałem Litwinowa. — Hold dla Curie - Skłodowskiej!

Przyznać trzeba, że Francja, jako garde dame Rosji Sowieckiej, żywiła pewne obawy, czy wszyscy przyjaciele i sojusznicy Francji pochwalają i cieszą się z wejścia Sowieców do Ligi Narodów. Nie mając dość czystego sumienia w stosunku do Polski, Francja zwłaszcza z tej strony oczekiwała pewnych restrykcji. Najniesłuszniej, skoro Polska była pierwszym państwem w Europie, które zawarło z Sowietami pakt o nieagresję. Znalazły się natomiast w całym głosującym zespole (49) delegacje, które powstrzymały się od głosowania (7), zaczęły w liczbie 42-ch głosujących za przyjęciem Rosji Sowieckiej do Ligi głosowało 59 przeciw trzem. Te trzy państwa to Portugalia, Szwajcaria i Holandia.

Sowiety są więc, jak z emfazą piszą publicyści francuscy „znowu w Europie”. I niewątpliwie stało się dobrze, że to wielkie państwo, kształtujące dla siebie nowe formy życia, nowe formy ustroju, a wykazujące ogromną siłę woli w przeprowadzeniu swoich zamierzeń, że to państwo właśnie podjęło się współpracy z państwami reprezentowanymi w Lidze.

Różne są komentarze do tego faktu, względnie do jego znaczenia na przyszłość. Komu przyniesie korzyść wstąpienie Sowieców do Ligi? Czy samej Lidze, gdzie głos Sowieców, nowy i odmiennie brzmiący, może mieć bardziej interesującą i bardziej przekonującą wymowę? Czy samej tylko Francji, względnie zachodnim mocar-

DO ROBOT
RĘCZNYCH



WŁOCZKI
I WEŁNY
„TRÓJKĄT W KOLE”



stwom, które w kontredansie paktów przez siebie komponowanych, nie mogły już podać sprawie, od pokoju wersalskiego nazwaną: „utrzymaniem pokoju w Europie”, a bodajże utrzymaniem pokoju świata?

Mówi się oczywiście tylko o korzyściach, jakie przyniesie światu, ściślej Lidze, wejście Sowietów do tego zgromadzenia państw. Należałoby jednak uwzględnić tu również motywy Sowietów i korzyści, wpływające dla nich z wstąpienia do Ligi. Rosja Sowiecka, pyszniąca się swoim osamotnieniem, wywyższająca się swoją ideologią ponad burżuazyjny świat, musiała w rezultacie dojść do zrozumienia, że sama nie udźwignie już nadal groźnych komplikacji na Dalekim Wschodzie. Niemniej też okazało się niemożliwe rozwiązanie zagadnień gospodarczych tylko w obrębie wielkiego terytorjum Rosji. Samowystarczalność gospodarcza jest tylko paljatywem, który na długo nie może starczyć żadnemu państwu.

Pierwsza sesja Ligi Narodów z udziałem Litwinowa, jako delegata Rosji Sowieckiej, ma dla nas, kobiet, szczególną barwę. Oto na tem posiedzeniu Rady Ligi przyjęto raport min. Barthou, dotyczący prac międzynarodowej komisji współpracy umysłowej. W raporcie tym uczcił delegat Francji pamięć wiceprzewodniczącej komisji s. p. Marji Curie, Skłodowskiej. Zaznaczono tam, że Curie - Skłodowska nie tylko była chlubą nauki francuskiej i polskiej, ale że była chlubą całej ludzkości.

Zwracamy uwagę na to, jako na coś bardzo znamiennego. Ludzie polityki, ludzie politycznych namiętności składają hold tej genialnej kobiecie z pełnym wyczuciem tego, że była postacią nadrzędną w dziejach ludzkości. Fakty aktualnej polityki są zmienne, traktaty są niekiedy „świszkami papieru”, ale zdobycze nauki, wyniesione z lichych szop, osiągnane pracą, trudem i prywatcją, łączą ludzi całego świata najgłębszym uczuciem wspólnoty.

H. N.

Nasza mównica

Starzy nigdy nie byli młodymi...

„O! idzie już „Szybkiobieg“! Dostrzegł go ktoś z domowników naszych przez okno, mieszkamy bowiem na wysokim parterze od frontu, skąd, jak w kinie, przesuwają się przed naszym wzrokiem scenki z życia. Rozróżniamy już sporą ilość osób, o jednej godzinie dążących do pracy, wracających. „Szybkiobieg“ to staruszek lat przeszło 80. Ubrany dostatnio, w czarnej czapce karakułowej, w nieposzlakowanie czystym palcie. Nie idzie, tylko suwa nogami, najwolniej, jak tylko człowiek poruszać się może, stąd zwraca tak bardzo naszą uwagę. Może tam gdzieś stale jest bardzo potrzebny, niezbędny. Może siedzi w wygodnym fotelu w sklepie, czy innym przedsiębiorstwie i ma zboku oko na całość, czy tylko jest jeszcze jednym, dodatkowym „okiem pańskim“ zapasowem. Może, kiedy wszyscy wyszli z domu do zajęcia, pilnuje, żeby małym wnukom czy prawnukom służba nie zrobiła krzywdy? A może tylko u jednego ze swoich dzieci mieszka, a u drugiego ma całodzienne utrzymanie — smutne warunki dzisiejszego kryzysu.

Sunie zawsze tak punktualnie, niezawodnie, zmuszając gwałtem do myślenia o starcach, ich stosunku do życia, otoczenia. Bo jeśli kwestję stałego nieporozumienia między młodszym pokoleniem a starszym uważa wielu za kwestję palącą, za jakąś otwartą, drażniącą bliznę, nie powiem ranę, to cóż dopiero mówić o podobnym zestawieniu: młodzież szkolna, a 70, 80-letnia Babunia, Dziadzio.

Czyż przestąpienie tej czasu niczem nigdy nie da się zmniejszyć?...

Chciałoby się młodym tak powiedzieć:

„Kochacie Babunię, bo jest Matką Waszej Matki, czy Ciotką, która wychowała Wam Ojca; trudem rąk swoich, staraniami swymi zdobyła dla Niego w świecie stanowisko inżyniera, handlowca, nauczyciela, lekarza, kupca. Gdyby nie Ona... Tak, kochacie Ją, lecz chwile zniecierpliwienia, różne podrażnienia między Wami a Nią tak częste i te zimne, lodowe technienia, podmuchy Waszej jaźni: „Co to Babcie obchodzić może?“, czy: „Dla Babcie to obce! Babcia taka temu daleka!“ Prawda, siedzi tak cichutko w swoim fotelu, czyta gazetę, modli się, czy reperuje różne domowe różności, przez Was tak często bujnemi Waszemi siłami potargane, podarte, poniszczone. Krąg zainteresowań Babuni zmniejszył się wydatnie, ale tylko pozornie, bo Babunia mało z domu wychodzi, a tem samem nie widzi nowych Waszych znajomych, nowych przedmiotów, zjawisk życia społecznego. A czemu? Nietylko siły nie pozwalają. Mogłaby nieraz i wybrać się tam czy owdzie, gdzie reszta rodziny. Nagabują ją domowi — wzbrania się:

— Jeszcze dla mnie na taksówkę, doróżki, kiedy wnukom i wpis opłacić i takie drogie książki kupić trzeba!

Wreszcie i do kościoła przestała uczęszczać, bo musiałaby pojechać tam i z po-

wrotem. A czyż niejedna Babunia ma w czem pójść na jakieś świetniejsze zebranie? Tak jakoś się złożyło... Isia ma mundurek już tak bardzo zniszczony, Kazi liźwy trzeba kupić koniecznie, bo taka bledziutka, czy Irce balowe szatki, bo czyż podobna, żeby na „balu“, prawdziwym balu, wieczorku maturzystek nie była, ona, która jest duszą klasy, prymuską. Babunia daje na to nieraz swój procencik, swoje oszczędności czy emeryturę wdowy po powstańcu 1863 roku.

Rodzina walczy: „Trzeba przecież Mamie przerobić palto, tak już dawno nie sobie Mama nie sprawiała!“ „Co mnie tam“, przeciwstawia się Babcia, „ja nie do życia, młodszym potrzeba“, ale... wychodzi z domu coraz rzadziej, „bo w takim ubraniu“, choć nieraz nikt się nie domyśla dlaczego, a już wnuki pierwsze posadzają Ją o obojętność dla świata i spraw jego. Tak bywa w niejednym domu. Że Babunia trochę inaczej od reszty domu żyje, czyż to nie wina reszty rodziny?

Babunię, Drogie Moje, wszystko interesuje, tylko... trzeba z Nią rozmawiać o sprawach szkolnych, sportowych, Waszych planach... Babcia tam nie chodzi, tych osób nie zna. Niech je dobrze pozna z opowiadań szczegółowych — i Jej staną się „one“ bliskie, swoje.

Tak łatwo, tak wciąż zapominacie, że ta Babunia też była młoda, że z wielkimi złotemi warkoczami, wciąż zsuwającemi się na ramiona, czy z koroną z włosów, obciążającą młodą główkę, ślezczała też nad lekcjami (ale w obcym języku), uczyła się (z Hłowajskiego) historii, a potem o kłamstwach, tam zawartych, gorąco rozprawiała z ojcem przy obiedzie, z koleżankami na tajnym posiedzeniu kółka samokształcenia. Kiedy Was zasypuje wprost szkoła wydawnictwami, wykładami, które uczą Ojczyznę, Rodaków kochać, ona przez jakieś stosunki w księgarni potajemnie kupowała egzemplarzyk III części „Dziadów“ czy „Ksiąg Pielgrzymstwa“. Ona była, jest i będzie tym samym, co dawniej, gorąco czującym, interesującym się wszystkim człowiekiem, tylko opowiadał, Iruchno, Babcie wszystko i cokolwiek...

Czyście opowiedziały Babcie, że na rogu Królewskiej i Krakowskiego dom burzono, gmach dawny, publiczny. Było też i o tem w gazetach. A teraz już tam wy muirowano wielgachny dom nowy. Babcia to miejsce z twojego opowiadania w dzisiejszym stanie *widzieć będzie*. Tak pamięta ten dawny dom stylowy dobrze! Patrzyła nań z okien III gimnazjum, dokąd uczęszczała. Może tu, na rogu Królewskiej usłyszała pierwsze wyznanie miłosne sztabaka z sąsiedniego, VI gimnazjum męskiego?

Przeżyć osobistych, sekretów cudzych nikt ci nie wyrwa. Chociaż i one... Uczennice i życie sobie odbierają... Gdyby te swoje sprawy omówiły ze starszą, przyjazną sobie osobą — możeby się i pomoc jaka, wyjście, uspokojenie znalazło, a młode, niedoświadczone stały zupełnie wobec tej sprawy, konfliktu bezradne.

Babcia przeżywała podobne Waszym cierpienia — tylko kilka dziesiątków lat wcześniej...“ Takby się chciało młodym powiedzieć...
Józefa Gażyńska.

Przegląd prasy

NIE OPLACA SIĘ...

Pod tym tytułem znana publicystka, Zofja Zaleska zamieszcza w „Kurjerze Warszawskim“ reportaży z życia proletariatu.

Podajemy jeden znamieny urywek.

Z naszego podwórka cztery dziewczyny wzięły do szkoły gospodarczej. Skończyły powszechną przedtem — opowiada druga gospośia. — Ja nie wiem, ale coś w tych szkołach im się w głowach przewraca, na „panienki“ się kierują, robić nie potrafią i „nie wypada“, rączek szkoda. Z tej szkoły to trzy uciekły, wróciły do domu i spacerują. Chichotki, mizdrzenia. Taksamo za pierwszego lepszego by poszły.

— O, moja to nie taka — odzywa się z dumą pierwsza. — Jej tylko książka w głowie. I w domu pomoże i czyta ciągle.

— W tej szkole gospodarczej nie takie znów słodkości, żeby można było wytrzymać, — wtrąca się milcząca dotąd młoda dziewczyna, trzymająca za rękę jakiegoś malca.

— Dobrze wam mówi, a niech kto sprobuje sam. Moja siostra wróciła stamtąd, to wiem. Rano wstawać, cały dzień nauka i robota. To dobre dla zakonnice, a młodemu to za ciężko.

— Patrzcie: za ciężko! Lżej ci będzie, jak cię mąż ze sobą do baraku zabierze i w brudzie siedzieć będziesz i co rok dzieci rodzić, — oburza się pierwsza z kobiet. — Ja tam wole, że moja córka o zakonie myśli.

— Nie oplaca się w szkole ciężko pracować, żeby potem na służącą iść albo do dzieci, — sprzeciwia się znów młoda. — Jak się gdzie trafi, to i tak się miejsce dostanie bez szkoły.

„Nie oplaca się“. Już w trzecim wypadku w tej rozmowie pada to określenie. Co u licha! Robota — nie oplaca się, nauka nie oplaca się. Jeszcze w pierwszym wypadku, gdy chodzi o stosunek zarobku do potrzeb, można zrozumieć lekceważenie, ale bieg myśli tej młodej dziewczyny to już objaw zatrwajający społecznie. Panie domu skarżą się na brak inteligentnych i wyszkolonych pomocnic, a dziewczęta ze szkoły powszechnej uważają, że „za ciężka praca“ uczyć się fachu tak potrzebnego, jak gospodarstwo domowe, bez którego dobrej znajomości nie postawią i własnego domu na pożądanym poziomie. Nastrój bezrobocia wytworzył nastrój lenistwa, to było przewidywane. Ale to jest też klęska.

W „Polsce Zbrojnej“ w art. p. t. „O chleb dla innych powodziań“ znakomita powieściopisarka Zofja Kossak - Szczucka tak mówi o głodzie książki na śląsku Opolskim.

W samym tylko powiecie opolskim jest 90,000 Polaków. Tej cyfrze odpowiada niecały 1.000 książek. Mniej więcej jedna książka na tysiąc ludzi.

I jakież to książki. Przeważnie pochodzące z biblioteczek, organizowanych w czasie plebiscytu. Treść ich jest już nieaktualna, przestarzała, a wszystkie egzemplarze, szczególnie te, których wartość nie wygasła, są tak „czytane”, że nadawać się mogą tylko do muzeum, jako wzruszające pamiątki niezaspokojonego głodu czytelnictwa. Ich lepkie od zużycia karty są namagnetyzowane dotknięciem rąk wielu tysięcy czytelników, jak karty starej cyganki - wróżbiarki. I jak z tych kart, można by z nich wróżyć o wielkiej sile i przyszłości pokolenia, które tak czytać pragnęło.

Żadna dzielnica Polski nie ma takiego zamiłowania i petyzmu dla książki jak Śląsk. Nigdzie indziej książka nie jest w takim poszanowaniu i cennieści. Symbol Śląska, to nietylko dźwieg kopalni i komin fabryczny, ale książka. To Lompa i jego nieocenione dziełko. To pierwszy polski tygodnik włościański, wydawany blisko sto lat temu w Pszczynie. To kowale i księża poeci. To ogólna, niegasnąca mimo ucisku politycznego, tęsknota do własnego oblicza duchowego, własnej narodowej kultury. I oto dziś, gdy na całym świecie książka staje się coraz powszechniejszą, coraz dostępnejszą, gdy dosięga wszystkich rąk, połowa tej właśnie rozmiłowanej w czytelnictwie dzielnicy jest zupełnie pozbawioną książki.

Spieszmy wypełnić ten brak, dopóki nie jest zapóźno. Życie nie czeka. Łatwiej wprowadzić polską książkę tam, gdzie jej jeszcze pragną i czekają na nią, niż tam, gdzie wejdzie i zdomowi się już książka niemiecka. A to musi nastąpić lada chwila.

A dalej:

Tragedją Śląska Opolskiego jest zupełny brak polskiej inteligencji kobiecej. Na całym terenie niema ani jednej kobiety działaczki, niema nauczycielek, ochroniarek, bibliotekarek, instruktorek, organizatorek towarzystw kobiecych. Próżne zaś pozostaną wysiłki młodych działaczy, opuszczających polskie gimnazjum, jeśli ich nie wesprze mądra towarzyszka pracy. Sami mężczyźni nie utrzymują polskości kraju. Szalony, ktoby na to liczył. O narodowości stanowi język, którym się mówi w domu. Dom — to kobieta.

Liceum dla dziewcząt w Raciborzu... I jeszcze cały szereg szkół powszechnych, prywatnych... Ach, jakże ich bardzo potrzeba. Potrzeba ich jak książek, potrzeba ich jak słońca, potrzeba ich dużo, dużo...

W „Polsce Zbrojnej“ w dziale „Tydzień Pani“ spotykamy artykuł Eugenji Wachtel p. t. „Sztandary Polskie w Danji“, zawierający ciekawą szczegółowy z życia kolonji polskiej.

Podczas ostatniego światowego Zjazdu Polaków z Zagranicy mieliśmy możliwość poznać polskich emigrantów z Danji. Byli oni reprezentowani grupą 40 osób, złożoną z osób starszych, mieszkających w Danji, lecz urodzonych w Polsce, oraz z młodzieży, urodzonej już na emigracji.

Zewnętrznie Polacy ci przyswoili sobie wszystkie dodatnie cechy duńskiego otoczenia: nasze swojskie włościanki zwyczajem duńskim jeżdżą wszystkie na rowe-



W dniu 14 września wygrana 50.000 zł. padła na Nr. 50.272. Los ten nabyli do spółki robotnicy jednej z warszawskich fabryk korków, w liczbie szesnastu osób.

Fotografia nasza przedstawia grono szczęśliwych graczy, w towarzystwie właściciela kolektury, w której nabyto los, p. Heimana.

Są to pp.: Marja Dębowska, Marja Otton, Szpiro, J. Zarwadzki, Jachimowicz, Lent i Rosensztajn.

Każdy, kto kupi los na Loterję Państwową, znaleźć się może na ich miejscu.

rach, 90 procent z pośród nich w czasie pobytu w Polsce nie rozstawało się ze swym aparatem fotograficznym — czyli, że pobyt w Danji upodobił je do rdzennych zachodnio - europejskich globtroterek.

Ile w nich jednak pozostało czystej polskości, o tem świadczy najlepiej fakt, że nietylko one same, ale przedewszystkiem wychowane przez nie w Danji młode pokolenie mówi, myśli i czuje — po polsku.

W wycieczce brała udział p. Helena Karpieńska, młoda osoba, nb. urzędniczka poczty w Kopenhadze. Była ona — jak wiele jej rówieśniczek — w Polsce po raz pierwszy w życiu, mimo to mówi najczystszy polski językiem. Ponieważ jest sekretarką „Związku Polaków w Danji“ okręgu Kopenhaga — cenne są informacje, jakich nam udzieliła.

W Kopenhadze — opowiadała p. Karpieńska — mieszka około 200 Polaków, a duszą tego zespołu jest p. Rediger, radca poselstwa polskiego. „Związek“ liczy w Kopenhadze 80 członków, w tem 40 kobiet i 20 młodzieży. Dwa razy w tygodniu wieczorem Polonja kopenhaska zbiera się we własnym lokalu związkowym, celem wymiany myśli, a przedewszystkiem dla wykonania programu zajęć świetlicowych, który obejmuje: naukę polskiego śpiewu ludowego, próby przedstawień teatralnych i t. d.

Każda środa przeznaczona jest na specjalne zebranie kobiet. Siedzą one wtedy zajęte szyciem lub robotami ręcznymi, słuchając równocześnie czytanych głośno powieści, nowel lub artykułów z czasopism polskich. Urządzane są również pogadanki z przezroczami o Polsce, wreszcie — jako tło towarzyskie — na zakończenie wieczorów wspólna czarna kawa i omówienie aktualności (radio, koncerty polskie, wizyty polskich statków w Danji).

Niezmiernie charakterystycznym dla ducha polskości, kultuwanego w Danji, jest bogaty repertuar pieśni ludowych, piosenek legjonowych oraz kolend, wykonywanych przez reprezentacyjny „Chór Polonja“ w Danji.

W dniu polskich świąt narodowych Polonja duńska urządza, w specjalnie na ten cel wynajętej, sali widowiska teatralne. Przyczem zmiennym jest fakt, że wśród zaproszonych gości obecna jest zawsze spora liczba sympatyków Polski, rodowitych Duńczyków. W ogólności współzycie Polaków z Duńczykami jest jaknajlepsze.

W wyniku tej harmonji duchowej polsko - duńskiej do wycieczki Polaków z Danji, jaka tu bawiła w ubiegłym miesiącu, dołączyło się kilku Duńczyków, a więc Dunka nauczycielka Gudrun Hansen, druga nauczycielka E. Jacobsen, oraz policjant duński — nie znający żadnego języka po za duńskim, Christian Christensen.

Kobieta w świecie i w domu

II MIĘDZYNARODOWA WYSTAWA PLASTYCZEK W WARSZAWIE.

II Międzynarodowa Wystawa Plastyczek, zorganizowana przez Komitet Sztuk Pięknych Międzynarodowej Federacji (International Federation of Business and Professional Women), do której należy Polskie Zjednoczenie Kobiet Pracujących Zawodowo (Warszawa, Żórawia 15 m. 4. Sekcja Sztuk Plastycznych Grójecka 40, tel. 942-20) otwiera się w Warszawie dn. 1 października i trwać będzie do 31.X w odnowionych salonach Inst. Prop. Sztuki (IPS).

W wystawie biorą udział artystki-plastyczki 8-miu państw: Anglii, Czechosłowacji, Francji, Holandji, Italji, Polski, Rumunii i Węgier.

Organizacja Wystawy spoczywa w ręku Międzynarodowego Komitetu Sztuk Pięknych, Międzynarodowej Federacji IFBPW, któremu przewodniczy p. Antoinette Paoli-Pogliani, ze strony polskiej pracuje Sekcja Sztuk Plastycznych Pol. Zjedn. KPZ. pod przewodnictwem p. Ilse Glinickiej.

Ekspozyty (malarstwo, rzeźba, grafika) przeszły przez filtr jury fachowego w poszczególnych krajach. Na prośbę Sekcji Sztuk Plastycznych Pol. Zjedn. KPZ. jury polskie oceniło prace naszych artystek. Do jury należeli: prof. Pruszkowski, a w jego zastępstwie prof. M. Boruciński, dyr. M. Treter, radca Sienkiewicz z Min. Oświaty, oraz wybrane w tajnym głosowaniu członkinie Sekcji Sztuk Plastycznych Zjedn. KPZ. pp. Pia Górską, Hufnaglówna, Pruszkowska, Nitschowa, Karpińska, Krasnodębska-Gardowska dla poszczególnych działów wystawy.

Wernisaż odbędzie się w IPS-ie uroczystości przy udziale zaproszonych gości i przedstawicieli placówek zagranicznych dnia 1.X o godz. 13-ej.

W związku z Wystawą mają się odbyć imprezy propagandowe: a więc w dniu 2 października ogólne zebranie członkiń Polsk. Zjedn. Kobiet Pracujących Zawodowo i wprowadzonych przez nie gości w celu bliższego zapoznania się z przybywającymi na wernisaż przedstawicielkami Federacji Międzynarodowej z zagranicy. W dniu 3-go października ma się odbyć w sali IPS-u Koncert Kompozytorek Polskich, organizowany przez Sekcję Muzyczną Zjedn. KPZ. pod przewodnictwem p. dr. Alicji Simon. Interesujące utwory dawniejszych i współczesnych kompozytorek polskich wykonają świetne interpretatorki: pp. Stanisława Korwin-Szymanowska (śpiew), prof. Lucyna Robowska (fortepian), Irena Dubiska (skrzypce), Zofja Bergerowa (cytra) przy akompaniamencie p. Szamotulskiej.

Z zagranicy przybyć mają na otwarcie Wystawy Plastyczek pp. Antoinette Paoli-Pogliani, przewodnicząca Międzynarodowego Komitetu Sztuk Pięknych Federacji IFBPW, organizatorka wystaw amsterdam-

skiej i obecnie warszawskiej na terenie zagranicznym. P. Paoli-Pogliani jest utalentowaną rzeźbiarką włoską, uprawia płasko-rzeźbę religijną i metaloplastykę, w szczególności rzeźbę, zastosowaną do architektury i prowadzi w kierunku tym propagandę wśród sfer przemysłowych i handlowych. Na wystawie w IPS-ie zobaczymy jej trzy dzieła.

Pani Dorota Heneker, generalna sekretarka IFBPW na Europę, przybywa z Genewy. Z pochodzenia jest Kanadyjką, z wykształcenia prawniczką-adwokatką. Zna już Polskę, gdyż była tu przed kilku laty, by zaprosić Polki do zorganizowania oddziału Federacji Międzynarodowej. Z Warszawy wybiera się p. Heneker do państw bałtyckich, pragnąc zorganizować i tam filje Federacji.

Pani Kornelja Emiliani, przewodnicząca sekcji sztuk plastycznych rumuńskiej, oddziału Federacji, jest znaną malarką rumuńską.

Międzynarodowa Wystawa Prac Plastyczek w IPS-ie, organizowana przez Polskie Zjednoczenie Kobiet Pracujących Zawodowo jest swego rodzaju manifestacją pracy artystycznej kobiet i manifestacją solidarności międzynarodowej kobiet pracujących, w myśl zasad i celów Międzynarodowej Federacji (International Federation of Business and Professional Women), która na nacelnym miejscu stawia popieranie wzajemne pracy i twórczości kobiet i ułatwienie im zarówno rozwoju warsztatów pracy, jak i zbytu ich produkcji na wszelkich polach i rynkach.

Poraz drugi Federacja organizuje Wystawę Międzynarodową Artystek swych członkiń, zeszłego roku w Amsterdamie, przy udziale artystek z 13 krajów, obecnie w Warszawie, przy udziale 7 krajów. Nie biorą udziału artystki zza Oceanu (gdzie Federacja ma największą liczbę członkiń) ze względu na znaczne koszty transportu i zorganizowania takiej imprezy.

Byłoby zupełnie błędem w tych warunkach uważanie tej interesującej Wystawy Artystek za jakąś reprezentacyjną wystawę: gromadzi ona tylko prace członkin Federacji Międzynarodowej i to tylko niektórych krajów europejskich. W każdym z tych krajów kompetentne jury dokonało wyboru dzieł, które zobaczymy na Wystawie i mamy nadzieję, iż będą one odpowiadały swym poziomem wymaganiom współczesnym — nie mniej główna waga Wystawy, obok jej walorów czysto artystycznych, spoczywa na jej znaczeniu propagandowym i to w podwójnej mie-

rze. Propagandą jest dla samej Federacji Międzynarodowej i dla poczynań niedawno założonego Polskiego Zjednoczenia Kobiet Pracujących Zawodowo. Propagandą jest ta Wystawa ze względu na nasze ogólne stosunki międzynarodowe i dlatego też znalazła żywe poparcie ze strony oficjalnych czynników artystycznych i propagandowych w Polsce, podobnie, jak i w krajach, przyjmujących udział w Wystawie. W roku ubiegłym Wystawa w Amsterdamie przyniosła artystkom polskim zasłużone laury, doskonałe oceny artystyczne i nawet pewne korzyści materialne, spodziewamy się, że i wystawa warszawska będzie źródłem poznania obcej sztuki przez nasze społeczeństwo i wprowadzeniem na widownię zgrupowanych prac polskich artystek, wśród których jest kilka młodych i mało znanych, a zasługujących na poznanie.

Z całym naciskiem trzeba podkreślić, że Międzynarodowa Wystawa Prac Artystek nie może być uważana za jakąś manifestację „Sztuki kobiecej“. Zarówno z punktu widzenia sztuki, jak i z faktycznego stanu rzeczy, dopuszczanie jakichś dziwacznych pojęć o rzekomej „sztuce kobiecej“, z czym się niekiedy spotykamy i w prasie w dyskusjach, mija się z rzeczywistością. Niema żadnej „sztuki kobiecej“, bo istnieje tylko jedna sztuka wogóle, jakkolwiek zawiera w sobie mnóstwo rozgałęzień. Najmniej zaś usprawiedliwionym podziałem byłby podział według płci twórcy dzieła sztuki. Jeżeli tworzą się różne grupy artystyczne, to mają one cele mniej więcej doraźne, albo łączy je jakaś idea artystyczna, albo konjunktura...

Do takich konjunkturalnych zespołów należy, rzecz prosta, nasz eksperyment, który ma otworzyć pracy artystycznej kobiet różnych krajów szersze perspektywy dla ich twórczości i powodzenia. Nie zapominajmy, że Federacja Międzynarodowa widzi w solidarności kobiet świata także moment „businessu“... i że podobnie, jak występowały obok grup impresjonistów, czy kolorystów, w malarstwie grupy lokalne wilnian, czy paryżan, uważamy za możliwe także wystąpienie artystek zjednoczonych w Federacji Międzynarodowej, dla wymienionych celów.

Nic to wszakże nie ma wspólnego z fałszywym mianem „sztuki kobiecej“ i pragniemy uniknąć na tym punkcie wszelkich możliwych pomyłek w ocenie naszej wystawy, która będzie tylko, jak mamy nadzieję, interesującym eksperymentem pewnego zespołu i propagandą solidarności kobiet na polu artystycznej pracy.

 *Ścieżka do czerwonawania i nici* „TRZY LILJE”

W JAKIEM PAŃSTWIE KOBIETA MOŻE BYĆ MONARCHĄ?

Jak wyglądają pod tym względem prawa obowiązujące w poszczególnych państwach?

W Francji, dnia 15 września 1789 roku zgromadzenie narodowe powzięło następującą uchwałę: „Zgromadzenie narodowe przez aklamację i jednogłośnie uznało jako zasadnicze prawo monarchji francuskiej, że osoba króla jest nietykalna i święta, że tron jest niepodzielny, że korona jest dziedziczna w rodzie panującym, w linii męskiej w porządku pierworodztwa, z wiekuistym i absolutnym wyłączeniem kobiet“, członków Armji, z wyjątkiem samej Ewy, która się o to dopraszała.

Z ustaw: Belgji, Włoch, Rumunji, Luksemburga oraz królestw skandynawskich widać wyraźnie, że kobiety oraz ich potomkowie są raz na zawsze wyłączeni od tronu (np. Art. 60 konstytucji belgijskiej). Wskutek stosowania wyżej podanej ustawy Luksemburg odłączył się w 1890 r. od Holandji.

W dawnej C. K. Austrii ustawa o następstwie tronu zawarta była w słynnej sankcji pragmatycznej cesarza Karola VI z 1713 roku. Dopuszczała ona do tronu w razie wygaśnięcia następców płci męskiej, arcyksiężniczki, córki ostatniego cesarza, którym dawała pierwszeństwo przed księżniczkami linii starszych.

Natomiast w Anglii i Holandji, wespół z potomkami męskimi posiadają i kobiety prawo do korony.

W konstytucji angielskiej niema żadnych formalnych artykułów dotyczących się następstwa tronu. M. Ostrogórski w dziele pod tytułem: „Kobieta a prawo publiczne“ nagrodzonym swego czasu przez Uniwersytet Paryski, tak pisze o dziedzictwie tronu w Anglii: „Jeżeli w danej linii nie ma dziedziców płci męskiej, tron przechodzi do najstarszej księżniczki, chociażby żyli książęta w liniach młodszych. W ten sposób królowa Wiktorja wstąpiła na tron po swym stryju Wilhelmie, który umarł bezpotomnie, ale miał dwóch młodszych braci książąt: Kent i Cumberland. Książę Kent umarł przed Wilhelmem IV, pozostawiając córkę Wiktorję, która jako przedstawicielka starszej linii, wyłączyła od tronu księcia Cumberland. Jest to jeden z wielu przykładów objęcia tronu w Anglii przez kobietę. Nie mówiąc już o wielkiej Elżbiecie, wiele innych kobiet dzierżyło berło królewskie Brytanji: siostra Elżbiety — Marja Tudor, córka Jakóba II — Marja, dzięki której tron uzyskał Wilhelm Orański, jej siostrzenica Anna. Katoliczka Marja Tudor żądała aby parlament uchwalił, iż panująca królowa korzysta absolutnie z tych samych praw co i król.

W czasie wstąpienia na tron Elżbiety, Aylmer przysły biskup Londyński, broniąc przeciw Knoxowi, słynnemu reformatorowi purytańskiemu, prawa kobiet do tronu, kładł nacisk właśnie na tę podrzędną rolę monarchy angielskiego. „Nie jest zatem tak niebezpiecznym — twierdził on — jak się wydaje, mieć kobietę u steru rządu w Anglii. Przedewszystkiem bowiem nie

ona rządzi, a ustawa, której wykonawcami są sędziowie. Następnie nie ona stanowi prawa i statuty a dostojne zgromadzenie parlamentu“.

Konstytucja holenderska poprawiona w 1887 roku w następujący sposób rozstrzyga prawa kobiet do tronu: „W braku potomków męskich (od syna do syna) tron przechodzi do córek ostatniego króla, po nich do córek linii męskiej zastępczej, następnie do żeńskich linii zstępnych“.

Z powyższego widać, że w Holandji dziedziczy kobieta tron dopiero wówczas, gdy potomstwo męskie w prostej linii zupełnie jest wyczerpane, (taki właśnie wypadek miał miejsce w 1890 r. w Holandji po śmierci króla Wilhelma III, męża niedawno zmarłej królowej-matki Emmy, w przeciwieństwie do Anglii, gdzie wystarczy brak męskich zstępnych w stopniu, któremu należy się tron, ażeby kobiety mogły nań wstąpić.

Co się zaś tyczy regencji kobiet to ustawy: Anglii, Holandji, Szwecji, Norwegji, Belgji i Rumunji nie określają porządku regencji. Za każdym razem, gdy w którymkolwiek z tych krajów król nie może rządzić z powodu nieletności lub choroby, specjalne prawo ad hoc mianuje regencję. Czy może ona przejść w ręce kobiety? Zasadnicze ustawy wymienionych państw, pozostawiając wybór regenta ciałom ustawodawczym, po największej części nie zawierają wyraźnych zastrzeżeń co do płci osoby, mogącej zostać powołaną do piastowania regencji. Tylko ustawa duńska z dn. 11 lutego 1871 r. wymaga, aby regent był płci męskiej.



ZASZCZYTNE WYRÓŻNIENIE POLKI.

Na Międzynarodowym Kongresie Przewodniczącym, który odbył się niedawno w Warszawie, wybrano na stanowisko generalnej sekretarki dr. Marję Skokowską-Rudolfową, zasłużoną badaczkę na polu zwalczania gruźlicy.

RÓWNOUPRAWNIENIE KOBIET W PIĘCIU CZĘŚCIACH ŚWIATA.

Europa. Na 28 państw europejskich 19 przyznało kobietom wszystkie prawa polityczne. Są to: Anglja, Austrja, Czechosłowacja, Danja, Estonja, Finlandja, Hiszpanja, Holandja, Irlandja, Litwa, Luksemburg, Łotwa, Niemcy, Norwegja, Polska, Portugalja, Rosja, Szwecja, Węgry.

W Belgji mają kobiety prawo wyborcze do samorządów i bierne prawo wyborcze do parlamentu.

Grecja, Rumunja i Turcja dały tylko prawo wyborcze do samorządów, podobnie, jak Włochy.

4 państwa nie dały kobietom dotąd praw politycznych: Bułgarja, Francja, Jugosławja i Szwajcarja.

Ameryka. Pełne uprawnienie — w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie z wyjątkiem paru prowincyj dawnej Kanady francuskiej. W Brazylii prawo wyborcze w 2-ch stanach (Rio Grande del Norte i San Paulo). W Peru prawo wyborcze do samorządów.

Afryka. Prawo wyborcze do samorządów w Unji południowo - afrykańskiej.

Azja. W Chinach — równouprawnienie. W Indjach — w kilku państwach.

Australja. Równouprawnienie.

EWANGELINA BOOTH NOWĄ KOMENDANTKĄ ARMJI ZBAWIENIA.

W Londynie odbyły się wybory głównego generała Armji Zbawienia, z którego wyszła zwycięsko czwarta córka założyciela Armji i długoletniego jej komendanta, Ewangelina Booth.

Nowoobрани „generał“, Ewangelina Booth, jest córką założyciela Armji Zbawienia, Williama Booth i jego żony Katarzyny, zwanej „matką Armji Zbawienia“. Urodziła się w samo Boże Narodzenie, co uważane było za pomyślną wróżbę. Liczy obecnie 68 lat.

Uposażenie generała Armji Zbawienia wynosi 450 funtów rocznie, do czego dodane jest mieszkanie z opałem i światłem, oraz zwrot wszystkich kosztów wyjazdów, które są bardzo liczne, do obowiązków generała bowiem należy odbywanie podróży inspekcyjnych do wszystkich oddziałów Armji, rozproszonych po całym świecie.

Ewangelina Booth, mimo podeszłego wieku, jest w pełni sił i codziennie uprawia pływanie i jazdę konną.

Mając lat 25 została mianowaną „porucznikiem“ armji i objęła komendę nad całą akcją londyńską. Potem udała się do Kanady, a podczas gorączki złota, jako ogarnęła północną Amerykę w roku 1898, zorganizowała w Londynie drużynę sanitarną. W roku 1904 wyruszyła na podbój Stanów Zjednoczonych i rzeczywiście swemi wależami osobistymi, wymową i zapałem, zjednała idei swego ojca wielu zwolenników, a Armji Zbawienia członków. Charakter jej jest nieoczekiwaną mieszaniną mistycyzmu i zdrowego rozsądku oraz praktyczności. Ma ogromny dar wymowy. Gdy by-

ła 12-letnią dziewczynką, ojciec jej, który wówczas prowadził akcję „misyjną” na żydowskim przedmieściu Londynu Whitechapel, postawił ją na wielkiej skrzyni od mydła i kazał przemawiać do wzburzonych i wrogich tłumów. I dziecko potrafiło wymową swą przykuć uwagę niechętnych słuchaczy. Były to czasy bojowe i ukazanie się Armji Zbawienia na ulicach miasta niemal zawsze dawało powód do rozruchów. Mimo to Ewangelina, w randze „porucznika”, a potem „kapitana”, zdobywała sobie coraz większe zaufanie mas. Pewnego razu, podczas pochodu w Torquay wzburzony tłum usiłował zepchnąć całą „armję” i młodocianego „kapitana” do morza. Policja zjawiała się w samą porę, aby zapobiec gwałtom i aresztowała wszystkich.

Ostatnimi czasy Ewangelina bawiła w Stanach Zjednoczonych, gdzie rozwijała niezwykle ożywioną działalność. Często po dniu spędzonym pracując w centralnych biurach „Armji” w Nowym Yorku, wyjeżdżała nocnym pociągiem do innego stanu, wygłaszała rano odczyt, odprowadzała dwa albo trzy nabożeństwa, aby wreszcie znowu nocnym pociągiem wrócić do Nowego Yorku i stanąć do pracy o godzinie pół do dziesiątej rano.

Na zdjęciu Ewangelina Booth otrzymuje bukiet od swej małej siostrzyczki w chwili, gdy odjeżdża pociągiem w drodze do Ameryki.

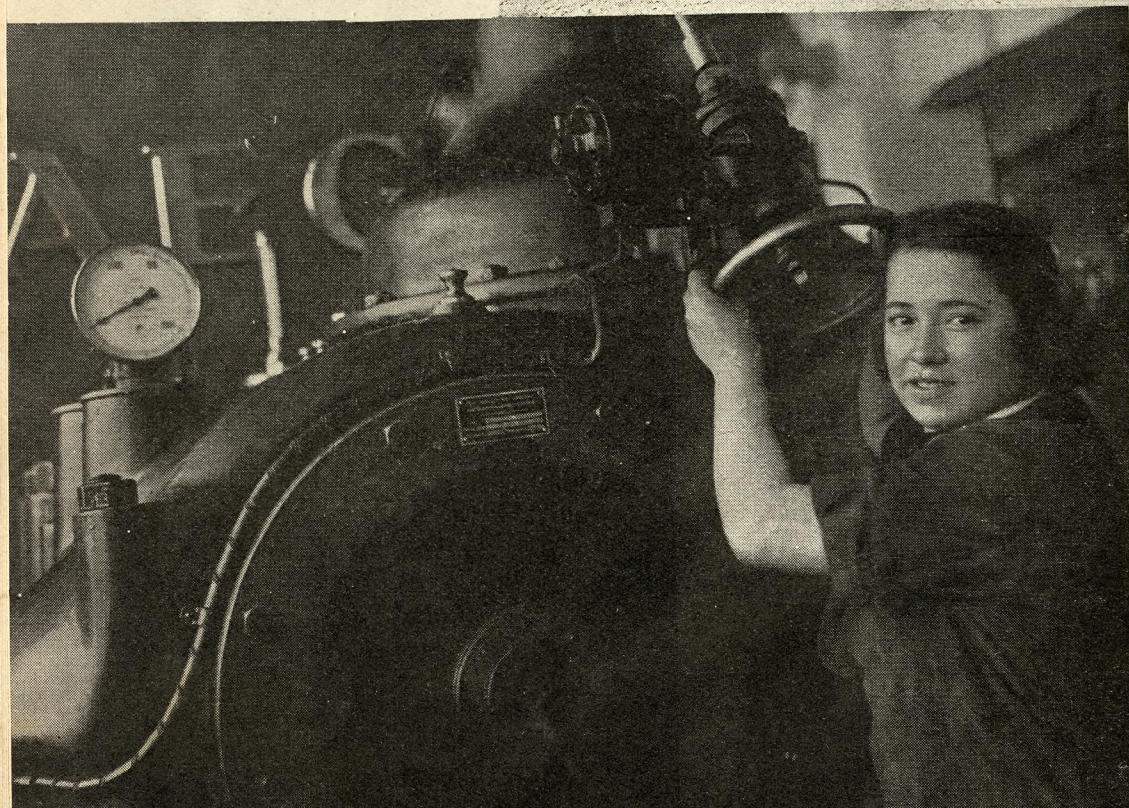


POŻEGNANIE EWANGELINY BOOTH, NOWEJ KOMENDANTKI ARMJI ZBAWIENIA.

Ewangelina Booth, nowa Komendantka Armji Zbawienia odjeżdża do Ameryki, żegnana przez swą małą siostrzenicę i członków Armji.

DZIECKO W RĘCZNEJ TORBIE.

Oto najbezpieczniejszy i najwygodniejszy sposób przenoszenia dziecka przez dwie osoby. Malec siedzi w miękkiej wysłanej torbie zabezpieczony od upadku, a jednocześnie ma zapewnioną swobodę ruchów.



KOBIETA ZASTĘPCĄ MASZYNISTY PRZY TURBINIE O SILE 50.000 KONI PAROWYCH.

Młoda obywatelka Sowietów, nazwiskiem Fiezenko, po świetnym zdaniu egzaminu socjalno-technicznego, pracuje jako pomocnica maszynisty w Magnitogorsku przy turbinie o sile 50.000 koni parowych.

REDUKCJA 5 MILJONÓW NIEMEK DLA ZWIĘKSZENIA LICZBY ŚLUBÓW.

W ramach wielkiej akcji z bezrobociem, ministerstwo gospodarki i pracy w Niemczech zamierza wywrzeć nacisk na przedsiębiorstwa przemysłowe w kierunku redukcji zatrudnionych kobiet.

Liczba pracujących kobiet ma być zmniejszona w najbliższym czasie z sześciu na trzy miliony. Redukcji podlegać będą przede wszystkim kobiety samotne. Władze hitlerowskie spodziewają się w ten sposób zwiększyć liczbę małżeństw.

Zredukowane kandydatki do stanu małżeńskiego mają otrzymać z utworzonego w roku ubiegłym specjalnego funduszu dla młodożeniów — długoterminowe pożyczki..



MISS FINLANDJA OBRANA NA MISS EUROPE.

W Hastings dokonano wyboru panny Elstery Toioneu, miss Finlandji, na miss Europa.

MARCHEW I PIETRUSZKA — OLBRZYMY.

Oto dwa okazy warzyw, prezentowane na wystawie w Królewskiej Hali Ogrodniczej, w Londynie. Prawdziwie rekordowy wzrost marchwi i pietruszki.



NAUKA POMOCY W NAGŁYCH WYPADKACH NA OBOZACH LETNICH.

Na angielskich obozach letnich dla młodzieży prowadzony jest kurs pomocy w nagłych wypadkach.

ŻONA NA KREDYT.

W pewnych okolicach Jugosławji istnieje zwyczaj, że narzeczony płaci za żonę pewną sumę jej rodzicom. Zwyczaj ten jest zresztą bardzo stary i nie mówilibyśmy o nim, gdyby nie pewna zmiana, wprowadzona niedawno. Z powodu trudnych obecnie warunków materialnych, ogólna suma została rozłożona na cztery raty, które narzeczony spłaca przez cztery kolejne lata małżeństwa. Jeżeli zdarzy się tak, że małżonek umrze w międzyczasie (przed spłaceniem całej sumy), młoda żona musi poślubić jednego z braci, wujów, czy innych krewnych zmarłego.



Ogrodnictwo i hodowla

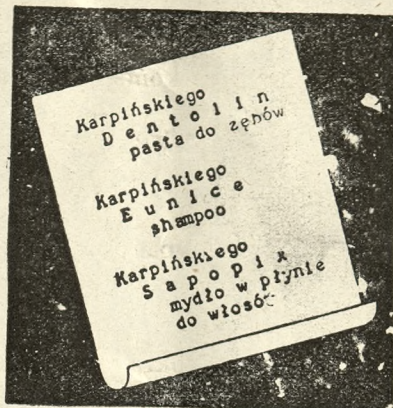
TECHNIKA SADZENIA DRZEW OWOCOWYCH

Pierwszą czynnością będzie dokładne wytyczenie miejsc, gdzie drzewka mają być posadzone. Do wytyczania służą nam *paliki*, których potem użyjemy do przywiązywania drzew. Palik taki powinien być prosty, gładko okorowany, grubość jego powinna wynosić 8 — 10 ctm., średnicy, a wysokość dostosowana do wysokości sadzonych drzewek.

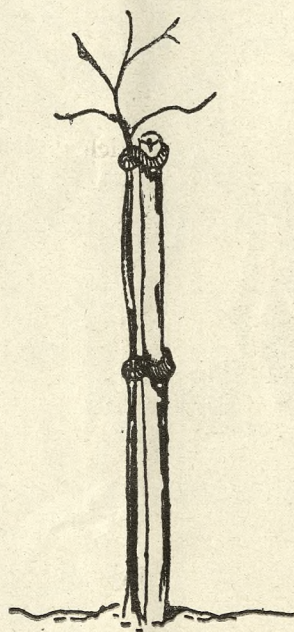
Pal dołem musi być zaciosany na ostro, aby się dawał łatwo w ziemię wbijać. Gwoli trwałości powinno się paliki nasycać jakimś preparatem przeciwnilnym, względnie osmalać je nad ogniem do tej wysokości, do jakiej muszą być w ziemię wbijane.

Palik u góry powinien być możliwie gładki i zaokrąglony. Wielkim błędem, często spotykanym, jest stosowanie zbyt wysokich palików. Palik powinien sięgać korony, a nie tak, jak się to często widzi, sterceć w koronie i przy każdym poruszeniu drzewka przez wiatr ją ocierać.

Drzewka należy sadzić w stosownych odległościach i pamiętać, że stokroć lepiej jest sadzić zbyt rzadko, niż zbyt gęsto. Pierwsza linja drzewek musi się znajdować przynajmniej na połowie odległości między drzewami od granicy lub drogi. Więć np. gdy drzewa sadzimy co 10 m, to pierwsza linja powinna się znajdować o 5 m od granicy, czy drogi. Ostatnia linja winna wypaść tak samo. Posługiwać się tu winniśmy długim sznurkiem ogrodniczym z dwoma końkami, lub też taśmą metrową, aby robota wypadła czysto i równo.



Na wyznaczonych linjach (przy pomocy odciętych rowów łopata przy sznurze) zaznaczamy miejsca pod drzewka, wbijając paliki, i przystępujemy do kopania rowów. Zakładając sad według wszelkich prawideł, powinno się całą przestrzeń spulchnić przy pomocy plu-



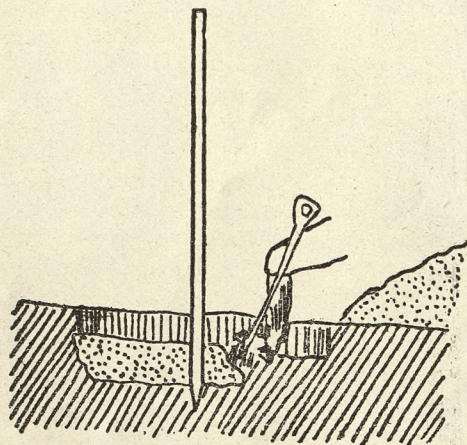
Drzewko dobrze przywiązane do palika.

ga z pogłębiaczem, przynajmniej na 50 ctm i wtedy wystarczy wykopywać tylko tak duże dolki, aby się w nie korzonki swobodnie zmieściły, t. j. na 40 ctm głębokie i około 60 ctm szerokie. W glebie, w której, z tych czy innych względów, nie myślimy poruszyć ziemi na taką głębokość, trzeba wykopywać doły znacznie szersze bo od 120 — 50 ctm średnicy, a głębokie na 60 ctm.

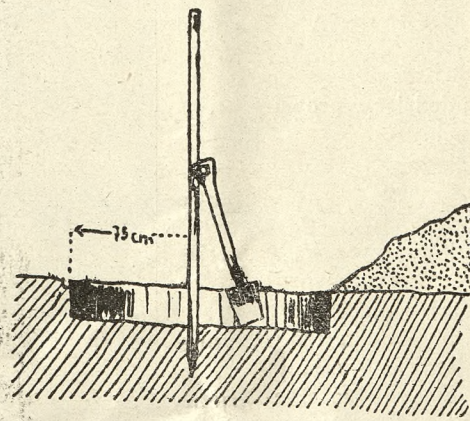
Przystępując do kopania, przede wszystkim zakreślamy sobie łopata okrag dołu i przystępujemy do kopania w ten sposób, że wierzchnią warstwę ziemi wykopujemy na kupkę z jednej strony, a ziemię z dolnych warstw sypiemy z drugiej strony. Dobrze wykopany dół powinien mieć formę cylindryczną, czyli, że górna szerokość powinna być taka sama, jak na dole.

Jeśli ziemia nie jest z natury żyzna i dobrze nawieziona, trzeba dolki odpowiednio zaprawić. Do zaprawiania używamy dobrze przegniętego nawozu lub, co lepiej, doskonale przetrawionego kompostu, a nigdy świeżego nawozu. Pamiętać bowiem należy, że nawóz dany zbyt głęboko, bez dostępu powietrza źle się rozkłada, storfieje i jako pokarm jest dla korzeni stracony. Poza to wskutek rozkładu znacznie zmniejsza swoją objętość i ziemia bardzo silnie się osiada, wciągając w głąb korzenie, czego następstwem jest tak szkodliwe dla drzew zbyt głębokie umieszczenie.

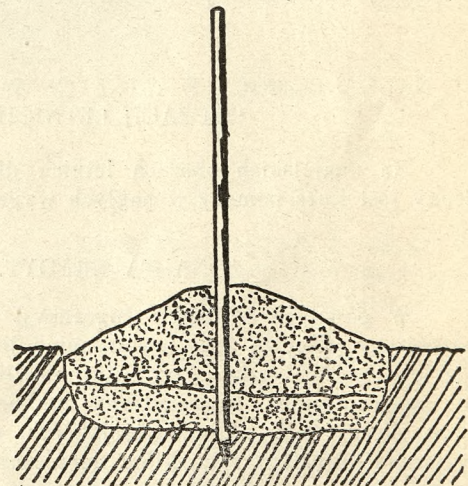
Na dno dolki sypiemy *zaprawę* lub też górne warstwy ziemi tak, aby uformować dość wysoki kopczyk. Wskazanem jest, aby wierzchołek jego wystawał nieco nad



Przekopywanie dna dołu.



Dół pod drzewko po wykopaniu na „jeden sztych” głęboko i po „podbiórcie”.



Dół bezpośredni po wykopaniu, zasypywany zpowrotem dla należytego ułożenia się ziemi.

powierzchnię. Zasypanie dołka wino być wykonane przed sadzeniem na jakieś 2 — 3 tygodnie, ażeby ziemia przez ten czas mogła się uleżeć i osiaść. Po zaprawieniu w ten sposób dołków, zabijamy paliki, sprawdzając jednocześnie przez patrzenie, czy linje się nie krzywią. Wszelkie niedokładności należy natychmiast poprawić.

Drzewka sprowadzone, czy wykopane ze szkółki, przygotowujemy do sadzenia w ten sposób, że wszelkie uszkodzone lub nadłamane korzenie przycinamy ostrym nożem aż do miejsca zdrowego. Korzonków drobnych lepiej nie przycinać. Przycięte korzonki maczamy w papce gliny i krowieńca i przystępujemy do sadzenia.

Przy sadzeniu drzewek potrzebne są przynajmniej dwie osoby, a lepiej, gdy jest ich trzy. Jeden człowiek ustawia drzewko od wschodniej strony palika i trzyma mocno baczając, aby szyjka korzeniowa znajdowała się tuż przy tyłce. Druga osoba przysypuje korzenie dobrą ziemią. Sypać należy równomiernie wkoło drzewka, przyczem osoba trzymająca je lekko niem potrząsa łak, aby ziemia dostawała się między korzenie. Pod żadnym pozorem nie należy drzewka podrywać do góry, bo wtedy obrywa się masę drobnych korzonków a inne zbijają się w jedno miejsce. Po zasypaniu korzeni, wypełnia się dół całkowicie i silnie udeptyje, baczając, aby nie skaleczyć pnia. Z pozostałej ziemi przy jesiennym sadzeniu robimy odrazu kopczyk. Aby ziemia doskonale korzenie oblepiła, należy drzewka zaraz po posadzeniu silnie podlać, lejąc pod każde jedno wiadro wody.

Jedną z najważniejszych cech dobrze posadzonego drzewka jest, aby ono nie było zbyt głęboko posadzone. Drzewko powinno pójść na taką samą głębokość, jak przedtem rośło w szkółce. Za głębokie posadzenie ujemnie odbija się na późniejszym rozwoju, zwłaszcza na ziemiach cięższych, gdzie i tak dostęp powietrza do korzeni jest utrudniony. Pamiętać należy, że korzeń do swego rozwoju musi mieć dostateczną ilość powietrza.

Zbyt płytkie sadzenie może na płytszych ziemiach powodować wysychanie korzeni.

Po posadzeniu drzewko przywiązuje się luźno do palika, licząc się z tym, że ziemia musi się osiadać. Gdy to nastąpi, przywiązujemy drzewko mocniej słomą, wikliną, powrozami lub drutem z nawleczonymi korkami. Drzewko do palika wiążemy w dwóch miejscach: tuż pod koroną i mniej więcej w połowie pnia.

Marja Dąbrowa.

TUCZENIE GĘSI

Chcąc mieć na św. Marcina, 11-go listopada tradycyjne danie z tłustej gęsi, oraz osiągnąć dobrą cenę za te ptaki, na które w tym okresie jest duży popyt, należy do tuczenia przystąpić już w końcu września, lub na początku października.

Doskonale odżywione na ścierniskach ptaki zamknąć należy w przewiewnej szopie, dosyć obszernej, aby się swobodnie poruszać mogły. Należy nasypać obficie podściółki, najlepiej w postaci mialu torfowego.

W tem zamknięciu pozostaną gęsi aż do ukończenia okresu tuczenia. Dzielimy go na dwa zasadnicze etapy:

1-szy etap, przygotowawczy, gdy ptaki dostają karmę, którą dowolnie pobierają i

2-gi etap, gdy gęsi są poddawane przymusowemu karmieniu.

W czasie trwania pierwszego etapu, którego nie powinno się przedłużać ponad dwa tygodnie, dajemy jako pożywienie: liście kapuściane, gotowane ziemniaki lub nawet obierzyny, buraki pastewne i t. p.

Na wieczór zadajemy zawsze po trochu owsa, aby ptaki miały co trawić w ciągu długiej nocy.

Wyżej wymienione zieleniny zadawać należy w takich ilościach, w jakich je ptaki w ciągu pół godziny zdołają zjeść. Wszelkie resztki należy starannie usuwać, aby nie kwaśniały w korytkach.

Zieleniny zadajemy trzykrotnie, a na czwarte danie dawać będziemy owies. Wody, kilka razy dziennie zmienianej, powinny ptaki mieć stale poddostatkiem i wogóle należy ją podawać w dużych ilościach, bo, gdy ptaki dużo piją, mogą dużo więcej zjeść.

Niektórzy hodowcy polecają nawet solenie paszy, aby więcej piły, pozatem sól powoduje duży rozrost wątroby.

Rozepchane w ten sposób w ciągu dwóch tygodni ptaki zaczynamy karmić sztucznie kluskami.

Kluski robi się z tartych surowych kartofli, zarobionych po połowie mialko mieloną mąką jęczmienną.

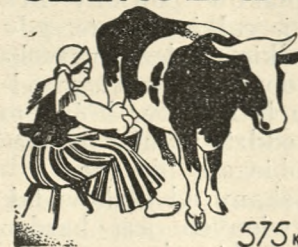
Na kluski bierze się w pierwszym tygodniu jedną część kartofli tartych na jedną część mąki. Kluski robi się gładkie, podłużne, grubości małego palca.

Najpierw trzeba je ugotować, a potem obsuszyć, a przed samym zadaniem moczyć je w zimnej wodzie, aby łatwiej przez przełyk przechodziły.

Karmienie stosujemy cztery razy dziennie, rozkładając czas na możliwie równe odstępy. Zaczynamy od porcji, składającej się z 6 klusek

Fuchs słodzi życie!

CZEKOLADA MLECZNA



na świeżym mleku bogata w witaminy

Fuchs

575 KALORJI ZAWIERA 100GR. TABLICZKA

zadawanych na jedno posiedzenie. Co dzień powiększamy rację o jedną kluskę przy każdym zadaniu, dochodząc stopniowo do 30 sztuk.

Pamiętać trzeba, iż każde następne karmienie uskutecznić można dopiero wtedy, gdy wole ptaka jest puste, t. zn., że karma, poprzednio zadana, została całkowicie strawiona.

Kluski przed każdym zadaniem moczymy wodą. Ten system przymusowego karmienia dla ptaków nie jest taką straszną torturą, jak inne sposoby. Do tego gęsi przyzwyczajają się szybko i gdy im się kluski włoży do dzioba, połykają je chętnie.

Tuczą się szybko i po trzech tygodniach całe ich ciało jest pokryte grubą warstwą tłuszczu i mięso jest przedniego gatunku, tak że gęsi po trzech tygodniach są doskonale dotuczone.

W miarę postępu tuczenia zmniejszamy stopniowo ilość kartofli w kluskach, dodając ich na ostatku tylko tyle, ile trzeba do zarobienia mąki, aby się kluska dała uformować.

Po połknięciu każdej kluski gęś powinna ją popić czystą, zimną wodą. Wogóle jednym z podstawowych warunków każdego tuczenia ptaków jest to, aby ptaki miały stale dostatek wody, gdyż ta jest nieodzownie potrzebna do dobrego uzyskania zadawanego pokarmu.

Przy przymusowym karmieniu gęsi jest bardzo dużo roboty, zarówno z przygotowaniem ciastek, jak i z ich zadawaniem, ale pomimo to system ten kalkuluje się stosunkowo najtaniej, gdyż w ten sposób tuczone gęsi zjadają mąki i kartofli o połowę mniej, niż wtedy, gdy paszę sypie się wprost do korytka, a ponieważ gatunek mięsa otrzymuje się pierwszorzędny i jako za towar pierwszego gatunku, możemy uzyskać lepsze ceny.

Ściółka powinna być obfita i często zmieniana, aby w tuczarni nie było zaduchu i wogóle nieprzyjemnego zapachu. Pamiętać bowiem trzeba, że brak świeżego powietrza musi się

ujemnie odbijać na funkcjonowaniu wszystkich narządów organizmu tuczonych ptaków. Dlatego też pamiętać trzeba o starannym również wietrzeniu.

Odchody ptaków powinny być normalne, t. j. całkiem gęste, gdy stają się rzadkie, należy natychmiast dodać do wody lekkiego odwaru piołunu lub mięty, które to zioła dobrze oddziałują na trawienie i zapobiegają bieguncce.

Nawóz uzyskany od ptaków tak forsownie żywionych jest bardzo bogaty w składniki pokarmowe dla roślin i jako taki powinien być starannie gromadzony.

Nie należy go jednak dawać w surowym stanie do ziemi, ale wyrzucić na kupę kompostową i starannie okryć ziemią, a przyczyni się nie tylko do wzbogacenia kompostu ale i do szybszego jego dojrzewania.

Marja Dąbrowa

ZBIÖR GRUSZEK

Uchwycenie właściwego momentu zbioru gruszek jest rzeczą bardzo ważną.

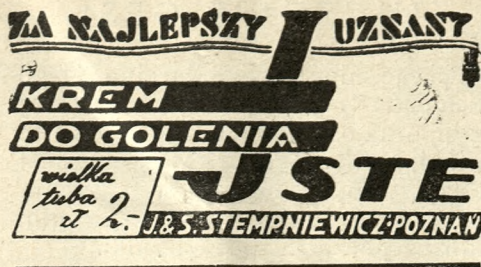
Pora ta, oczywiście, musi być w ścisłym związku z okresem dojrzewania. Jeśli pozwolimy im za długo wisieć na drzewie, co u nas zresztą tylko z letniemi jesiennymi gruszkami zachodzić może, wtenczas tracą one na słodyczy, aromacie, a przede wszystkim na delikatności miąższu, który staje się maczysty i niesmaczny.

Skoro zaś zerwiemy je przedwcześnie, będą trawiaste i wodniste, a jeśli to będzie owoc zimowy, zwiedną w piwnicy i popsują się szybko. Doświadczenie uczy, że gruszki październikowe zbierać należy około 20 września, listopadowe 1 października, listopadowo-grudniowe 10 października, zimowe zaś około 20 października.

Jako zasadę przyjąć należy, iż ze zbiorem owoców nie należy się zbyt spieszyc, bo zimowy owoc tem lepiej się przechowuje, im lepiej jest dojrzały. Małe przymrozki owocom nic nie szkodzą, a przyspieszają okres dojrzewania. Właśnie przed porą racjonalnego zbioru owoce rosną bardzo silnie, a więc późne odmiany nawet i po 15 października.

Bywają jednak wyjątki, niektóre bowiem odmiany słabo się na drzewie trzymają i opadają wcześniej, niżby się to według pory dojrzewania należało. Owoce tych odmian należy sprzątać wcześniej. Początek opadania wskazuje chwilę odpowiednią do zbioru.

Lata wyjątkowe, bądź ciepłe, bądź zimne, przyspieszają lub opóźniają tę chwilę o kilka dni, trzeba więc tę okoliczność mieć również na uwadze. Marja Dąbrowa.



PRZECHOWYWANIE SELERÓW PRZEZ ZIMĘ

Selery są bardzo na zimno wrażliwe i najłżejszy przymrozek już bardzo im szkodzi. Dlatego też należy one do pierwszych warzyw, które z ogrodu zabierać należy. Do zbioru przystępujemy w końcu września, a gdy jesień wyjątkowo ciepła, w początku października.

Rośliny wyciąga się z ziemi, ciągnąc za liście. Gdyby bardzo mocno siedziały, podważamy je łopatą. Wyjęte, otrząsamy z ziemi i składamy na niewielkie kupki. Następnie oczyszczamy bulwy w ten sposób, że odrywamy liście przy samej nasadzie, pozostawiając jednak środkowe listeczki t. zw. serce. Korzenie boczne odcinamy gładko, pozostawiając tylko kilka na dolnej części główki wyrosłych.

Najlepiej przechowują się selery w piasku w suchej piwnicy. W piasku selery sadzi się tak, jak one rosty i w takiej odległości, aby jeden korzeń drugiego nie dotykał. Niestety, sposób ten ma tę wielką wadę, że zabiera nam dużo miejsca.

Dla zaoszczędzenia tego miejsca można selery układać w stożki i pół stożki oparte o ścianę. Na podłogę sypie się warstwę piasku na 15 cm grubą i układamy selery w krag dowolnej średnicy główkami zwrócone do środka. Otrzymane koło wypełniamy selerami, układając je jedna warstwą. Następnie sypniemy na nie suchego piasku na 10 cm grubo i układamy na nim drugi okrag, potem trzeci, czwarty itd., robiąc każdy cokolwiek mniejszy od poprzedniego i przesypując każdą warstwę piaskiem, aż utworzy się zupełny stożek.

Zamiast w stożki możemy układać selery w wały oparte o ścianę. Podstawę wału wykreślamy na podłodze, posypujemy piaskiem i układamy warstwami, tak jak w stożki.

Wszystkie bulwy stanowiące podstawę stożka lub wału, mogą mieć po parę małych listków, które będą się w ziemi rozwijać i będą nam dostarczać zieleni do użytku kuchennego. Bulwy umieszczane w spodnich warstwach muszą mieć oberwane wszystkie listki.

Marja Dąbrowa.

ODPOWIEDZI DZIAŁU OGRODNICZO-HODOWLANEGO

P. Gątkiewiczowa, Bielsko na Śląsku.

Każde drzewo można wyhodować z pestki, czyli nasienia, ale otrzymamy w ten sposób dziczkę, która musi być uszlachetniona t. j. zaszczeponą szlachetną odmianą, inaczej rodzic będzie małe, kwaśne, bezwartościowe owoce. Absolutnie nie radzę się brać do produkcji drzewek z siewek, bo do tego trzeba fachowego przygotowania i na małą skalę to się nie opłaca.

Co do podręczników, traktujących tę sprawę, wymienić trzeba: Brzeziński: „Krzewy i drzewa owocowe“, Jankowski: „Sad przy chacie“, Strumiłło: „Ogrody handlowe“.

Przepis na kwas chleбny, literoski.

20 l. gorącej wody wlać do baryłki na włożone poprzednio 1½ kg. chleba razowego.

Chleb powinien być poprzednio wysuszony i potłuczony. Gdy woda przestygła, wlać 5 dkg. rozrobionych w wodzie świeżych drożdży i postawić w ciepłe na 12 godzin. Po tym czasie płyn przecedzić, dodać 1/2 kg. cukru mialkiego, garść rodzynek bez pestek i 50 dużych sułtanek. Wcisnąć dwie soczyste cytryny i znów zostawić na 12 godzin. Po tym czasie rozlać płyn do butelek, pokorkować mocno, podrutować i wynieść do zimnej piwnicy. Do użycia gotów po 24 godzinach. Jest bardzo smaczny i orzeźwiający.

P. Marja Grodzka.

Dzięgiel jest to roślina aromatyczna. Po łacinie Angelica Archangelica, ma ona liście potrójne, pierzaste i grube rozgałęzione, puste łodygi. Należy do rodziny baldaszkowych. Ogonki liściowe i łodygi dzięgla używa się na nalewki a usmażone w cukrze, bywają używane przez cukierników do ubierania ciast i tortów.

Osy w ogrodach wyrządzają duże szkody i powinny być tepione. Przedewszystkiem należy odszukać ich gniazda, znajdujące się najczęściej w ziemi. Wieczorem lub wczesnym rankiem zasypujemy otwory boczne ziemią, a do wylotu głównego wlać 1/10 część litra dwusiarczka węgla, zatykając otwór odrazu ziemią. Wytwarzający się w ziemi ciężki gaz zatruwa szkodniki. Poza to można wylapać wiele os, wieszając na drzewach flaszki z wązkami szyjkami, napełnione do 1/3 wodą z miodem lub sokiem owocowym. Zwabione zapachem osy wchodzą do środka i topią się.

Dla ochrony przed zającami.

Pnie drzewek należy nasmarować przed zimą następującym płynem: na 100 l. wody dać 5 kg. wapnia palonego, dobrą łopatę tłustej gliny, 1 łopatę krowianki, 5 kg. sody żrącej, 5 kg. mydła szarego i 5 kg. karboliumu sadowniczego. Wszystko to razem doskonale wymieszać i tym smarować pnie. Przy mniejszym zapotrzebowaniu zmniejszyć proporcjonalnie ilość każdego składnika.

Dom i gospodarstwo

MAŁE I WIELKIE SPRZĄTANIE

Systemy współczesne, systemy pracy „zracjonalizowanej“ wykluczają naogół „wielkie“ sprzątanie.

Charakterystyczny chaos idący wśląd za przewróceniem domu *do góry nogami*, parodniowa gehenna, która ma na celu *lepsze jutro*, to element skreślony z rubryk dobrze i normalnie prowadzonego domu współczesnego.

Zaczyna się i kończy, tak przynajmniej być powinno, na normalnym, codziennym sprzątaniu, wykluczającym jakiegokolwiek wstrząsy wewnętrzne. Życie codzienne powinno, jak uregulowana rzeka, płynąć równym korytem, obce wzbierającym i wylewającym się poza brzegi, falom.

Jedyną drogą do osiągnięcia tego, bądź co bądź idealnego stanu rzeczy, jest bezsprzecznie systematyczna przeciwwstawianie się nieporządkowi, inaczej, uporczywe, zacięte utrzymywanie porządku.

Nawet w stosunkowo dużym na dzisiejsze warunki mieszkaniu, w mieszkaniu kilkopokojowym, system ten jest całkowicie osiągalny. Łatwiej go sobie przyswoić w mieszkaniu nowym, racjonalnie urządzone, wolnym od nagromadzenia tysiąca zbędnych, bezcelowych drobiazgów i bliskich sercu „gratów“, z którymi tak trudno rozstać się wrażliwej i sentymentalnej naturze kobiecej, ale można hołdować mu w każdym warunkach, jeżeli tylko mamy tak zwany *wrodzony* zmysł organizacyjny i prawdziwe zamiłowanie podstawowej czystości.

Idealny porządek składa się z dwóch zasadniczych elementów: czystości i ładu. A zatem celem sprzątania powinno być osiągnięcie tak pierwszego, jak i drugiego.

W najczystszej utrzymanem mieszkaniu może panować nieład, tak jak atmosfera zewnętrznego ładu nie wyklucza poważnych odchyłeń od ideału czystości.

W myśl powyższego musimy dojść do wniosku, że sprzątanie rozpada się na dwa zasadnicze punkty: utrzymywanie ładu i czystości.

Omawiając techniczną stronę sprzątania mieszkania, na pierwszy plan wysuwa się konieczność przyswojenia sobie systemu, który zagwarantowałby nam stosunkowo najmniejsze zużycie czasu przy największej wydajności pracy. Najprostszą drogą do tego celu jest *planowość* pracy, wykluczająca przerzucanie się z miejsca na miej-

sce, wykonywanie zbędnych ruchów, bieganie po zapomniane przyrządy pomocnicze i t. p. wadliwe poczynania.

Pierwszą czynnością powinno być pootwieranie okien i, o ile pozwalają na to warunki, wytworzenie przeciągów, które sprzyjają prawdziwemu wywietrzeniu mieszkania. Teraz odkrywamy łóżka, rozrzucając swobodnie pościel, pozwalając jej zaczerpnąć oddechu.

Drugim punktem będzie wyniesienie z pokoi wazonów z kwiatami, zmieniowanie w nich wody. Pozostawiamy je chwilowo na uboczu, przenosząc do pokoi dopiero po całkowitem ich uprzątnięciu.

Chcąc możliwie najdłużej wietrzyć pościel, zajmijmy się chowaniem ubrań, umieszczaniem drobiazgów na właściwym miejscu, zanim przystąpimy do siania łóżek, czy też chowania pościeli do skrytek w tapczanach.

Właściwe sprzątanie, czyli odkurzanie mieszkania, rozpoczyna się dopiero z chwilą, kiedy pościel jest już schowana, albo przykryta kapami.

Teraz przychodzi kolej na zebranie kurzu z podłogi, czyli zamiatanie. Niepowinno się nigdy zamiatać suchą szczotką, która rozpyla kurz dookoła i faktycznie nie zbiera go, a przyczynia się do przeniesienia kurzu z miejsca na miejsce.

Przed zamiataniem trzeba wycisnąć dywany, mniejsze złożyć i usunąć, większe poskładać tak, aby osiągnąć możliwie najmniejszą ich powierzchnię. Kurz z podłogi zbiera się szczotką ujętą w specjalny bawełniany woreczek, nasączony pyłochłonnym płynem. Woreczki takie powinny być nasączone z dnia na dzień, a płyn przyrządzony w większej ilości na zapas.

Płyn do nasączania ścierek przyrządza się w sposób następujący: do dużej butelki wkłada się 2 dkg. drobno pokruszonego pszczelnego wosku (czystego), zalewa pół litrem benzyny i pół litrem terpentyny. Po kilku dniach wosk rozpuści się całkowicie i płyn jest już gotów do użytku. Przed każdym użyciem trzeba kilkakrotnie potrząsnąć butelką, aby poruszyć osad, jaki się tworzy na spodzie. Płyn ten służy również i do nasączania ścierek służących do wycierania kurzu i mebli.

Zamiatanie musi być wykonane bardzo starannie. Kurz trzeba zbierać nietylko w miejscach widocznych, ale we wszystkich kątach, pod wszystkimi sprzętami. Plamy zauważone na posadzce zacieramy

pastą już po dokładnym zebraniu kurzu.

Drugim punktem będzie odkurzenie sprzętów, a więc starcie wilgotną ściereczką parapetów okiennych, okurzenie mebli i drobiazgów. Następnie przecieramy posadzkę sukniami.

Jako czynność końcową należy uważać doprowadzenie pokoju do stanu estetycznego, a więc: poustawianie mebli na właściwych miejscach, poukładanie książek i drobiazgów, przesuniętych w czasie ścierania kurzu, ustawienie wazonów z kwiatami, wreszcie (w sezonach zimowych) zamknięcie okien, zasunięcie stor.

Jeżeli w pokoju znajdują się rośliny doniczkowe, powinny być podlane przed sprzątaniem.

Chcąc uniknąć kłopotliwych i wytrącających z równowagi *wielkich porządków*, przyjmujemy zazwyczaj podstawowe sprzątanie jednego pokoju codziennie. W dobrze zorganizowanym gospodarstwie, szczególnie przy podzieleniu czynności gospodarskich pomiędzy panią domu, a jej pomocnicą (co przy służącej do wszystkiego staje się nieuniknione), nie jest to ani rzeczą trudną, ani niemożliwą.

Postępując w sposób powyżej wskazany, można z łatwością uniknąć *epokowych* porządków robionych zazwyczaj przed świętami, w przeddzień jakichś uroczystości domowych, większych przyjęć, przyjazdu gości, którzy mają zabawić u nas czas dłuższy i t. p.

Jedynymi okolicznościami usprawiedliwiającymi konieczność poświęcenia porządkowi domowemu więcej czasu, niż przewidziany codziennym regulaminem są: szykowanie mieszkania do półsnu letniego (w okresie przedwyjazdowym), sprzątanie przy remoncie, czy odnawianiu mieszkania, szykowanie się do sezonu zimowego, a więc: opatrywanie pieców, zabezpieczenie okien na zimę, doprowadzenie mieszkania do stanu normalnego po powrocie z wyczasów letnich. Poza temi punktami kulminacyjnymi sprawa utrzymania idealnego porządku nie powinna nigdy przyjmować rozmiarów katastrofalnych, połączonych z dezorganizacją dnia powszedniego.

Do całokształtu tego rodzaju gospodarstwa niezbędną jest staranna i czujna konserwacja inwentarza domowego, wraz z docenieniem potrzeby *dopełnienia go*.

Wiemy o tem, że niema nic wiecznego. Wszystko dookoła nas zużywa się z czasem, musi być w porę

reparowane, odświeżane, a w miarę całkowitego zużycia zastępowane nowymi przedmiotami. Na tem właśnie polega racjonalna konserwacja naszego dobytku, która jest sojuszniczką ładu i porządku domowego.

Wanda Dobrzańska.

Przepisy gospodarskie

Potrawy mączne

Bliny. Proporcja: 6 dkg. drożdży, 4 szklanki mleka słodkiego, 4 szklanki mąki pszennej krupczatki, 2 szklanki mąki gryczanej, 10 dkg. masła sklarowanego, 5 jajek, łyżeczka soli, łyżeczka cukru.

Rozprowadzić drożdże letniem mlekiem, dodając łyżeczkę cukru. Dolać resztę mleka, wsypać w to osianą i wygrzaną mąkę pszenną i mąkę gryczaną. Wymieszać. Wlać masło sklarowane, o letniej temperaturze, wsypać sól, dodać ubite żółtka. Wyrobić łyżką, albo kopystką drewnianą. Na końcu podać pianę z pozostałych białek, wymieszać.

Pozostawić ciasto przez noc w ciepłej, aby wyrosło. Na drugi dzień przed smażeniem wymieszać. Smażyć na specjalnych małych patelkach, t. zw. „blinowych“, które trzeba obficie masłem smarować. Na patelki lać tyle ciasta, aby bliny były cienkie. Rumienić z obydwóch stron, skrapiając w czasie smażenia powierzchnię masłem sklarowanym. Usmażone bliny składać w wygrzaną wazę, trzymać przykryte w ciepłej. Podawać natychmiast gdy już wszystkie są usmażone. Do blinów podaje się gorące masło deserowe sklarowane i wyborową młodą, gęstą, kwaśną śmietanę.

Chcąc podać bliny na kolację rozczyniamy ciasto nie w przeddzień, a w rannych godzinach.

Mrówki. Proporcja: 1/2 kg. mąki pszennej, tyle jajek ile mąka wchłonie, 20 dkg. grzybów suszonych, duża cebula cukrowa, 15 dkg. masła. Zagnieść ciasto z 1/2 kg. mąki pszennej na samych jajach, dodając pół łyżeczki soli. Gotowe ciasto przykryć wygrzaną miseczką, pozostawić tak godzinę. Po upływie tego czasu tulać z ciasta cienkie wałeczki, rwać drobniutką zacierczkę, przesypując ją lekko mąką, aby się nie zlepiała.

Ugotować na obfitej wodzie, wylać na durszlak, przelać zimną wodą, osączyć.

Zawczasu ugotować wyborowe grzyby suszone, osączyć je ze smaku. Cebulę drobniutko posiekać, poddusić w masle, grzyby przepuścić przez maszynkę od mięsa, wrzucić w masło z cebulą, wymieszać. Osączone z wody zacierki wymieszać z grzybami, włożyć w ogniotrwałą rynkę, przykryć, wstawić do dobrze ciepłego pieca na godzinę. Wydawać wprost z pieca w tem samym naczyniu, w którym się wypiekały.

Pierozki ze słodką kapustą. Proporcja na ciasto: 40 dkg. mąki pszennej, 1 całe jajko, łyżeczka czubata masła, tyle zimnej wody, aby ciasto nie było twarde i dało się ciągnąć.

Usiekać drobno główkę kapusty, sparzyć, osączyć, odcisnąć całkowicie z wody. Posiekać drobno jedną dużą cukrową cebulę, poddusić ją w trzech łyżkach masła. Wrzucić w masło z cebulą kapustę, przykryć, du-

sić na wolnym ogniu 20 minut. Po zdjęciu z ognia dodać do kapusty 2 łyżki gęstej kwaśnej śmietany, 5 jajek ugotowane na twardo, drobno posiekane, soli i białego pieprzu do smaku.

Ciasto na pierozki rozwałkować dosyć cienko, jednak tak, aby się nie przerywało. Wycinać krążkiem blaszanym średniej wielkości kółka, nakładać farszu i zalepiać brzeg mocno palcami. Ugotowane na osolonej wodzie pierozki wyjmować łyżką durszlakową, osączać z wody, układać na ogniotrwałym półmisku w masłem wysmarowanym. Posmarować wierzchnią warstwę pierozków jajkiem rozbitym, posypać suto tartym serem szwajcarskim, albo parmezanem, skropić masłem. Zapiec na rumiano, podawać wprost z pieca.

Kluski wykwintne z parmezanem. Proporcja: 6 dkg. masła, półtorej szklanki wody, 20 dkg. mąki pszennej, 5 całych jaj, 10 dkg. parmezanu, 10 dkg. masła.

Zagotować wodę z 6 dkg. masła, wsypać mąkę, mieszać na ogniu dopóki ciasto nie odstanie od rondla. Zdjąć z ognia, wbijać po jednym 5 jaj, wyrabiając ciasto łyżką drewnianą. Wsypać utarty na cienkiej tarce parmezan, soli do smaku. Wymieszać. Gdy ciasto wystygnie, zagotować w dużym żym rondlu wodę, osolić ją. Kłaść małą łyżeczką niewielkie kluseczki na wodę, przykryć. Gotować dopóki wszystkie nie spłyną na wierzch. Wyjmować łyżką durszlakową, osączyć z wody. Ułożyć na ogniotrwałym półmisku, masłem wysmarowanym, posypać suto tartym parmezanem, obłożyć małymi kawałeczkami masła deserowego, zapiec na złoty kolor.

Kluski francuskie z gruszkami na leguminy. Proporcja: 2 łyżki masła, 8 żółtek, szklanka mąki, 10 gruszek, kilka łyżek cukru, kawałek cynamonu, szklanka śmietany kwaśnej.

Obrać dojrzałe, lecz niezbyt miękkie gruszki, podzielić na ćwiartki. W czasie obierania rzucić w zimną wodę lekko zakwaszoną sokiem cytrynowym, aby nie straciły koloru. Włożyć gruszki do rondelka, nalać wodą wrzącą dając jej tylko tyle żeby gruszki nakryła. Wsypać cukru do smaku, włożyć kawałek cynamonu (albo wanilji), gotować do miękkości, uważając jednak, żeby się nie rozgotowały. Miękkie gruszki wyjąć z sosu, sos przecedzić przez sitko.

Rozetrzeć masło na śmietanę, dodając po jednym żółtku. Gdy już utarte na pianę wsypać mąkę, wymieszać i zaraz kłaść łyżeczką nieduże kluseczki na wrzącą, lekko osoloną wodę. Gotować pod przykryciem, wyjmować łyżką durszlakową, jak tylko spłyną na wierzch. Osączone wyłożyć na półmisek, polać gruszkami z sosem, który trzeba zaprawić szklanką śmietany i łyżką mąki pszennej.

Naleśniki biszkoptowe. Proporcja: 8 jajek, 10 dkg. cukru pudru, 30 dkg. mąki pszennej, szklanka mleka, albo śmietanki, trochę sproszkowanej wanilji.

Przygotować ciasto na podstawie żółtek ubitych z cukrem, mąki i mleka w ostatniej chwili przed smażeniem dodać sztywną pianę z pozostałych białek. Lekko wymieszać. Smażyć na obfitem masle naleśniki dwa razy grubsze niż zwykle, rumieniąc je z oby-

dwóch stron. Przygotować rondelkę tej samej wielkości co naleśniki, wysmarować go masłem deserowym i wysypać bułeczką tartą. Każdy usmażony naleśnik smarować dosyć grubo wykwinną marmoladą owocową, układać jedne na drugich w rondelku. Gdy już wszystkie ułożone, posypać powierzchnię cukrem pudrem z wanilją, wstawić do pieca na 10 minut. Wydając na stół, wyrzucić babkę naleśnikową na okrągły półmisek, pokrajać na równej wielkości kawałki, oblać gorącą marmoladą owocową, rozrzedzoną paroma łyżkami wina. Podawać gorącą.

Naleśniki z kremem. Pół litra chudego (zbieranego) mleka, 4 jajka, łyżkę sklarowanego masła, szczyptę soli i tyle mąki aby ciasto było odpowiedniej gęstości na naleśniki, rozbić łyżką drewnianą na gładkie ciasto. Smażyć cienkie naleśniki smarując patelnię piórkiem maczanem w sklarowanym masle.

Przygotować następujący krem: (proporcja na 12 naleśników) 5 żółtek, 4 łyżki cukru pudru, czubata łyżka mąki pszennej, trochę sproszkowanej wanilji, szklanek wyborowej, młodej, kwaśnej śmietany rozbić w kamiennym garnuszku. Wstawić garnuszek do rondelka z gorącą wodą, trzymać na wolnym ogniu, ubijać masę dopóki całkowicie nie zgęstnieje, uważając aby się nie ścięła. Wystudzonym kremem smarować naleśniki, składać w chusteczki, albo związać w ruloniki, rumienić na obfitem masle. Podawać wprost z patelni posypane cukrem pudrem z wanilją.

Naleśniki z masą migdałową. Usmażyć naleśniki, jak wyżej. Usmażone smarować masą przyrządzoną w sposób następujący: 15 dkg. migdałów słodkich i 6 sztuk migdałów gorzkich sparzyć, obrać ze skórek, opłókać w zimnej wodzie, wysuszyć, zemleć na młynku od migdałów. Utrzeć do białości 4 żółtka z czterema łyżkami cukru pudru, dodać migdały, ucierać jeszcze chwilę, poczem dodać pianę z pozostałych białek, lekko wymieszać i smarować dosyć grubo naleśniki. Składać w chusteczki, smażyć na obfitem gorącym masle. Wydając na stół posypać pudrem z wanilją.

Biszkopt z kremem Waniljowym. Proporcja: 6 jajek, 15 dkg. cukru pudru, 10 dkg. mąki kartoflanej, sok z pół cytryny, trochę sproszkowanej wanilji.

Proporcja na krem: 5 żółtek, 5 łyżek (czubatych) cukru pudru, łyżka strychowana mąki pszennej, szklanka mleka, albo śmietanki, trochę sproszkowanej wanilji. Utrzeć do białości żółtka z cukrem, dodać sok cytrynowy, wymieszać. Wsypać mąkę kartoflaną, wanilję. Ucierać jeszcze chwilę. Ubić sztywną pianę z pozostałych białek, wymieszać lekko z ciastem, wylać je do tortownicy wysmarowanej masłem i wyprószonej mąką. Wstawić biszkopt do wolnego pieca, aby doskonale wyrósł zanim się przyrumieni. Piec z początku na dolnej, później na górnej kondygnacji 40 minut. Natychmiast po upieczeniu wyjąć ostrożnie z formy, wystudzić. *Melba.*

Odpowiedzi działu „Dom i gospodarstwo“

Mrówki w spiżarni giną przez rozsypywanie dokoła ścian na półkach spiżarnianych i stołach boraksu wymieszanego z cukrem pudrem.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Halince w O... Aby przez zimę utrzymać gładkie, białe rączki proszę, po myciu, a szczególnie na noc, w wilgotne jeszcze ręce wcierać troszkę *kremu Prałatów*. Jeżeli idzie jeszcze o wybielenie rąk, to na noc, po natarciu ich *kremem Prałatów*, proszę grubo przypudrować wybielającym pyłkiem *Juvenia Candida*, i włożyć obszerne rękawiczki. Rano wymyć ręce (najlepiej w ciepłej wodzie). Jest to środek pewny, i przy stosowaniu go, ręce będą zawsze nadzwyczaj gładkie i miękkie. Jest to wogóle najlepszy środek do rąk.

Stąlej: Włosy najlepiej myć na sucho *pudrem Florentin*. Wtrzępuje się cokolwiek *pudru Florentin* w włosy, a następnie wyczesuje grzebieniem i szczotką. Unika się w ten sposób zaziębienia głowy, i włosy są po takim myciu czyste, lśniące i puszyste.

Migdałkowi: Czystą i gładką cerę będzie pani miała, stosując *Abarid*. Na noc wymyć twarz w ciepłej wodzie *otrąbkami Abaridowemi*, a następnie wetrzeć cokolwiek *kremu Abaridowego*, i przypudrować *pudrem Abaridowym*. Rano można twarz nie myć, a wytrzeć *plynnym Goldcremem Abaridowym* i przypudrować tymże *pudrem*.

Nieszczęśliwej: Wągry i ciemne punkciki, oraz błyszcząca cerę straci pani, wycierając twarz 3-4 razy dziennie *wschodnim plynem Mimoza*. *Pudrów tłustych* proszę nie używać, tylko jedynie stosować nietłusty *puder Abaridowy*.

Starzejącej się: Zapobiegnie Pani tworzeniu się zmarszczek i utrzyma Pani świeżą, czystą o młodzieńczym wyglądzie cerę, stosując *krem Abaridowy*. Na noc wymyć twarz w dobrze ciepłej wodzie *otrąbkami Abaridowemi*, a następnie wetrzeć cokolwiek *kremu Abarid* i przypudrować tymże *pudrem*.

M-me Ercèdes.

MEBLE gwarantować może tylko własna wytwórnia

Stołowy 14 sztuk 430. Sypialnia 10 sztuk 440. Gabinety 460. Salony mahoń 10 sztuk 220. Złoczone orzechowy, fotele futurystyczne, tapczany higieniczne 85. Otomany 120. Stoły rozsuwane 50. Krzesła wyściełane 15, oraz najróżnorodniejsze sztuki.

OLKOWSKI Nowy Świat 12, tel. 9-10-93
= Firma chrześcijańska =

Jak wykonać cały szereg wykwintnych, modnych rzeczy, nauczy Panie Książeczka p. t.

Artystyczne pikowanie

w opracowaniu

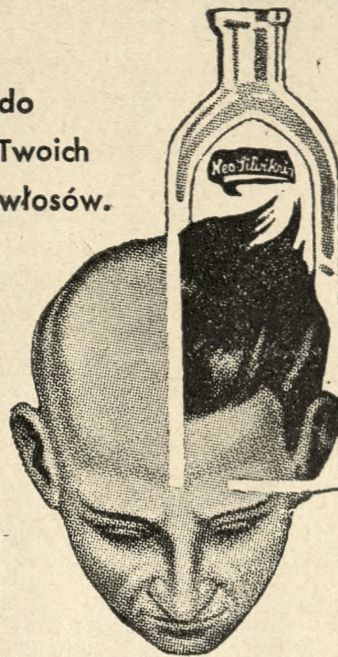
T. GŁĘBOCKIEJ

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ”, Warszawa, Solec 87, Świętokrzyska 17 m. 3 oraz we wszystkich większych księgarniach.
Konto P. K. O. 12.200

Cena 1 zł. 50 gr.
z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

Neo-Silvikrin

do Twoich włosów.



Stosuje się przy łupieżu i swędzeniu głowy.

Do nabycia we wszystkich właściwych sklepach. Prosimy żądać wyraźnie Neo-Silvikrin. Na żądanie wysyłamy bezpłatnie próbkę.
Adres: 250

Wyciąć z podaniem dokładnego adresu nadać w kopercie do firmy
LABORATORJUM SILVIKRIN
GDANSK, Böttchergasse 23-27.

Nowe modele jesienne w poradni mody nadeszły
Świętokrzyska 17, m. 3.

TANIE DWA TYGODNIE KSIĄŻKI DLA GOSPODYŃ

OD 2 — 16 PAŹDZIERNIKA R.B.

można nabyć w każdej księgarni i kiosku T-wa Księg. Kol. „RUCH” wszystkie wydawnictwa Towarzystwa Wydawniczego „BLUSZCZ” z dziedziny: gospodarstwa domowego, robót ręcznych, higieny i kosmetyki, wychowania, książek dla młodzieży i beletrystyki

po cenach o 50% niższych od normalnych

Każda gospodyni winna wykorzystać okazję nabycia tych wydawnictw niezbędnych w każdym domu

Wszystkim Paniom polecamy

doskonałe książeczki wydawnictwa

„Życie Praktyczne”

Zbiór i przechowywanie owoców
Potrawy z jarzyn
Co można zrobić z mleka
Co można zrobić z owoców
Co trzeba wiedzieć o grzybach
Potrawy i konserwy z grzybów
Potrawy z kartofli
Sałaty i sałatki
Zimne leguminy
Jarzyny na zimę
Książka kucharska dla oszczędnych gospodyń
Kuchnia dziecięca
Nalewki i likiery

Drób i sposoby przyrządzania
Hodowla i tuczenie drobiu
Jarstwo i surówka
Obiady na maszynie
Wina owocowe
Zimne napoje
Zimne zakąski
Wyrób serów
Pieczywo domowe
Sto potraw z jaj
Zioła lekarskie najlepszym źródłem dochodu
Cukierki i słodycze
Potrawy z cielęciny
Drobne ciasteczka

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Solec 87 i Świętokrzyska 17 oraz we wszystkich większych księg.
Konto P.K.O. 2.200

Cena każdej książeczki 1 zł.

z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

Każda z pań zrobi sama dla siebie, męża i dzieci najmodniejsze kamizelki, swetry, szale i wiele innych rzeczy, przy pomocy doskonałych pomocników

SZYDEŁKAMI

i na

DRUTACH

DLA DZIECI
DLA MŁODZIEŻY
DLA PAŃ I PANIENEK
DLA PANÓW I CHŁOPCÓW

ŚCIEGI SZYDEŁKOWE I NA DRUTACH

Do nabycia
w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Solec 87
i Świętokrzyska 17 oraz we wszystkich
kioskach „Ruchu” i księgarniach

Cena każdej książki 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.